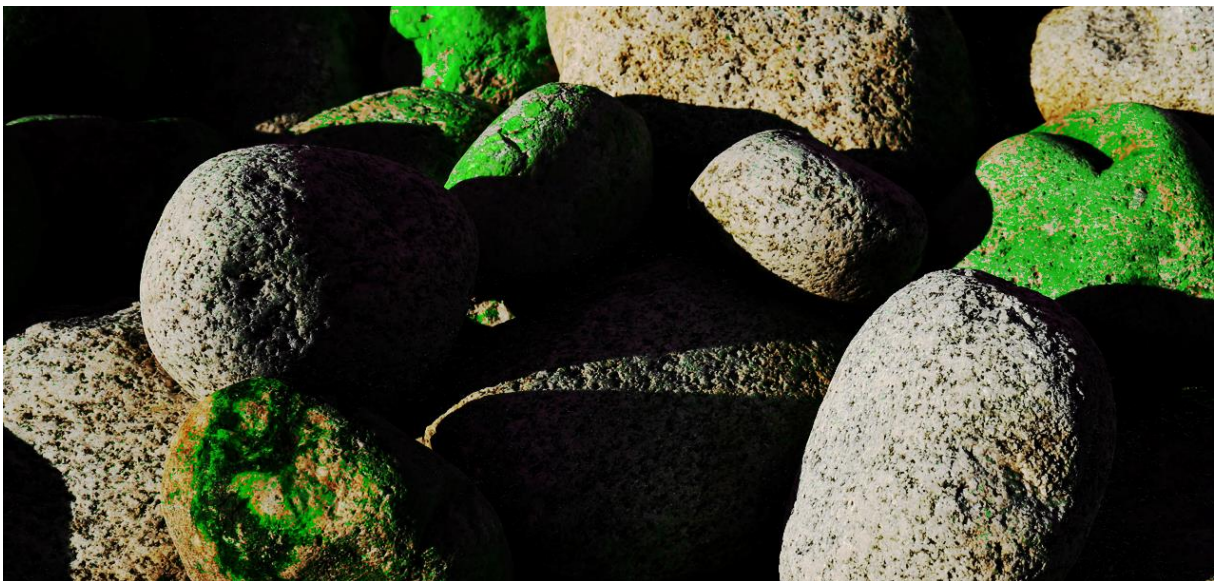


Marcin z Frysztaka

i

**Ostatnie**

**piwo**



### 03. #06 Słowo wstępne.

Podróż może pomóc nam odkryć siebie samego. Albo się zapaść. I nie poznać jego. Albo powiedzieć, nie rozumiem. I w samotności z dala od życia siedzieć. Różnie. To zależy od podróży. Czy życie Ci się duży. To zależy od nastawienia. Nie ma istnienia bez serca otworzenia. Różne są predyspozycje i sezonów edycje. Jedne bardziej przeszkadzają, inne nawet pomagają. Zależy, czy się nie wykręcasz, wywijasz. Czy do przeganiania intruzów używasz kija. Komu, na co. I dlaczego. Poznaj w końcu siebie samego. Podróżując. Ciągłe na nowo. Po religiach i światach. Nie że będzie na gotowo. Sam musisz przygotować sobie to danie. To tak naprawdę na nowo rozpoczynanie. Na nowo się stawanie. I nie odpuszczanie. Tworzenie. Miłość jest istnieniem. Powtarzanie. Bo poświęcenie jest na pierwszym planie. I się zamienianie. Dobrem za dobro. I unikanie. Złego. I złemu się nie kłanianie. I bycie w wiecznym, pełnym chęci zachwycie. Mówisz, że podróż Ci się udała. A ja się pytam, dlaczego. Skąła, to nadal skąła. A Ty pytasz co z tego. Ważne, że było miło. Właśnie nie. Nic się nie zmieniło. Nic nikomu nie udowodniło. Tylko się tliło. Podróżniczo. Zasadniczo. Jak jedno zwątpiło, to drugie się zaraziło. Tylko do czego te słowa. Co to za podróż, którą rozpoczyna się ciągle od nowa. Co to za zaczynanie i dlaczego denerwuje kichanie. Wydalanie. Się stawanie. Chciałbyś mieć wszystko jak w muzeum. Podróżniku. W jakim celu. Ciesz się przeżyciem i emocjami. Zachwyta. A nie podnietami. Ciesz się słońcem i wskazaniem zenitu. A nie załamuj kolejnymi problemami. Problemy są po to, aby Cię rozweselać. Żebyś docenił, gdy zaczynają się zmieniać. Żebyś cieszył się gdy ich nie ma. Zrozumiał, że każdy problem to tak naprawdę ściema. Taka gra. Taka potrawka z królika. Co ucieka. Z talerza znika. Taka chwila co rozwesela. Gdy temperatura oscyluje w okolicach zera. Słońce pomoże. Słońce przyświeci. I już nie będziesz musiał przezywać dzieci. Znęcać się nad ich godnością. Twoje dzieci. Twoją złością. Litością. Obdarowujesz. Z litością koczujesz. Siebie. Dla siebie. Bez siebie. Siebie znajdujesz. Taka dziewczynka, bez zapalek. Bez ognia i innych grzałek. Długo za długo. Podróży być sługą. Długo, dlatego, śmiać się z czegoś dobrego. I nie unikaj tego. I nie zabieraj otworzonego. Czerp z tego co zostaje. Rośnij z tym co się staje. Kochaj. A nie udawaj, że Cię nie dostaje. Żyj. A nie rozliczaj kto się z kim zadaje. Rozstanie. Boli. Gdy wyrosło na swawoli. Rozstanie. Cieszy. Gdy uwalnia w końcu przesył. I dwa serca ciągle związane. Idą. W podróży. Jako włóczędzy są znane. Już. Zamieniane. Słów. Być kapłanem. Religii serca. Religii miłości. W podróżniczej anty-złości. Krok za krokiem, powiedział kiedyś ktoś. Bo patrzył, jak stawia kroki gość. I ja tym gościem byłem. Byłeś i Ty. O ile uroniłeś w życiu kawałeczek ły. Spacerując z sercem związanym. Szukając w tym nie zakazanym. I dlaczego zrezygnowałeś. Dlaczego zrezygnowałem ja. Czy więcej nie chciałeś. Czy więcej nie chciała ły. Człowieka. Dla i po co. Podróżnika. Oby nie tylko nocą. Idziesz. Kroczysz. Swawola. Kontrola. Samowola. Budowlana. Budujesz miłość. I z braku planów jest znana. Stawiasz miłość, bez projektu. I bez fundamentów. Po to ta podróż. Aby uniknąć zamętów. Po to ta wyprawa, i ważna jest to sprawa. Aby poznać życie i utonąć w Jego zachwycie. Bądź podróżnikiem nie tylko od święta. Poznawaj, nawet jeśli droga kręta. Ludzi i ich zwyczaje. Ich podejście i co się czym staje. Poznawaj Boga i Jego przyzwyczajenia. Jego pragnienia, oraz marzenia. Bez znajomości ludzi i Boga. Daremna będzie Twoja dalsza droga. Nigdzie Cię nie zaprowadzi kulejąca noga. Chyba że do lekarza. Ale nie wystarczy na leczenie zgoda. Trzeba mieć wizje i podróżniczy zapał. Chęć. Aby nikt Cię po drodze nie złapał. Nie sprowadził na złą drogę i nie zasnął. Gubiąc trop. I zgodę. Nie gub tego co przywiera. Dobrego,

choć temperatura w okolicach zera. Nie trać nadziei i chęci. Żyj. I niech Cię życie nęci. Próbuj, a będzie w końcu trafione. Zrobisz. A nie będzie podzielone. Chwila. Iść w człowieka stronę. Boga. Co człowieka obdarzył zagonem. I ten kto przyjął i korzysta. To Ty. Nie bierz przykładu, ze spadającego liścia. Twórz. I bądź sam na sam z Bogiem. Pragnij. A nie będziesz stał odłogiem.

Mark S. White

## **OBJAWIENIEC**

Pierwsze czy ostatnie piwo  
Na które postawisz

Pierwsza czy ostatnia miłość  
Którą chwilą sławisz

Dlaczego poznajesz  
Dlaczego się z chwilą rozstajesz

To co objawione  
Będzie zrobione

## Ostatnie piwo

Ktoś siedział przy barze. I milczał. Jak w koszmarze. Albo jak robią tragarze. Tak po prostu. Był. Tak po prostu. Pełen sił. Ducha. A nie zawierucha. Spokój. Który wprowadza pokój. Coś z niego emanowało. Coś do niego przyciągało. Zauważył to pewien tubylec. Zet. Taki lokalny niemilec. Ale pozytywny. Równy a nie krzywy. Ale nie naiwny. Choć czasem stroi dziwy. I zagadał Zet do Ktosia. I uśmiechnął się, za uśmiech. Toż to nie grzech. Dobrze jest pozytywny zdać test. Pierwszego wrażenia. Co się drugi raz nie zmienia. Raz ustanowione, nie może być łatwo odwrócone. Pierwsze. Wrażenie i tchnienie. Wolności. I miłości marzenie. Przywitali się. I w ciszy czekali. Ciekawe na co. A może są mali. A może nie dorośli do tego świata. Świata, który nie ma brata. Rozpuszczony jest ten świat. Jedynek. Wszystko ma. A ciągle mu brak. I tak siedzą. Dwóch mędrców. Poznają po twarzy. Że nie morderców. A jeśli już to morderców czasu. A jak mędrców to takich.. zawczasu. I siedzą dalej. Zaglądają sobie do kufla. Patrzą na piwo. Sprawa okrutna. Ktoś machnął ręką. Nie wiadomo po co. Zet się uśmiechnął. Jak to ma w zwyczaju nocą. I siedzą. Dalej. Ciekawe o czym myślą. Ktoś pewnie o niczym. Jeden i drugi, odpowiedź zmyślą. Czasami chcą pogadać. Czasami milczenie poskładać. Czasami wiedzą co powiedzieć. Czasami chcą po prostu siedzieć. Dwóch. Jeden stoczony. Drugi uskrzydłony. Jeden miejscowy. Drugi wiecznie na wyprawę gotowy. Ktoś. Jest ten wyprawowy. Zet, szuka odnowy. W miejskim zgietku. W szumie i hałasie. Zet sięgnął dna. Nie wie nic o ananasie. Nie powie Ci dlaczego samoloty latają. Jaka jest budowa atomu i dlaczego niektórzy się na niej znają. Zet jest prosty. Woli posłuchać. Ktoś więcej mówi. Jak mówi. Dzisiaj siebie woli nie ruszać. Przynajmniej póki co. Przynajmniej jak patrzy na dno. Kufla bez piwa. Dno kufla. Wiecznie żywa. Nadzieja, co się nie zmienia. Nadzieja, co się nie odmienia. Każdy ma swoją. Ale tak naprawdę identyczną. Każdy docenia swoją. Jak zmarszczki mimiczne. Bo są i nadają kształt człowiekowi. Bo powinny. I są zawsze zdrowi. Nawet jak chorują. Zdrowie patrzy na nich. I dokazuje. Nie zepcha Was nawet spych. Nie weźmie Was żaden z lich. Lichów. Do licha. Idźcie. I wrócili. Jeden nawet kicha. I siedzą dalej. I się zastanawiają. Albo nie. I proste myśli mają. Tak-tak, nie-nie. Kto w ich butach zmieści się. Komu by przypasowały. Na kogo nodze dobrze leżały. Kto potrafi a kto pomoże. Dlaczego bogato było na dworze. I do dziś na dwory się pchają. Kieszenie bursztynem sobie wypychają. Może, dlaczego, z jakiej przyczyny. Uczępiłeś się tak niekonwencjonalnej miny. Zapytał Zet Ktosia. Bo żeś się pan tutaj do mnie dosiadł. A czy to panu przeszkadza, pyta Zet. Zależy czy ktoś przesadza. Ja nie mam zamiaru przesadzać. Może nauczy mnie pan takim wzrokiem władać, prosi Zet. Może, kto wie. Co dalej zdarzy się. I siedzą. Dalej. I się wpatrują. Po chwili barman pyta, czy dobrze się czują. Nie odpowiadają. Tylko skinieniem głowy władają. Nie rozgadują się. Ani od siebie nie odskakują. Wiedzą, że gdzieś koło nich błąka się tajemnica. Wiedzą i czują. Że to kolejna stronica. Że dopiero się zacznie. Że coś już drgnęło. Że się rozpędzi. I będzie płynęło. Wiedzą to. Rozumieją. Czują. Że istnieją. Doskonale. Nie trzeba im tłumaczyć. Że albo się bawić na całego. Albo się nie bawić wcale. Nie ma półśrodków na tym świecie. A jak są, to je spotkasz w klozecie. Nie ma sprawiedliwości i nie ma litości. Są tylko między ludźmi kolejne uprzejmości. Jak to się potoczy. Czy jeden drugiemu do gardła skoczy. Czy jeden drugiego uderzy kijem. Może. Ale ani jeden, ani drugi nie bije. Choć każdy może zacząć w każdej chwili. Coś nowego. Jeden i drugi

widział, jak się ludzie bili. Ale nie tu. Nie teraz. Gdzie indziej. Dawno. Raz nawet było to w windzie. Nie każdy z tego się wykręci. Nie każdy ma wystarczająco chęci. Są różne powody i synonimy. Są spuścizny i coś między nimi. Co motywuje i dodaje otuchy. Coś co skręca i zamyka na kłódkę brzuchy. Słowo idea. Słowo, się rozpoczęła. I trwa, póki Bóg coś do powiedzenia ma. Póki świat nie jest za dnia. Taki jak w nocy. Póki wszystko co złe, nie budzi się po północy. Wszystko mamy tu zmieszane. Jak człowiek. I to co zastaje nad ranem. Rozgardiasz w duszy. Dusza się suszy. Niepoukładane ciało. A Ty chcesz, żeby się działo. I jest jak jest. Potwierdzi pies. Szczeknie, ugryzie. A Ty potrzebujesz większych zbliżeń. A Ty potrzebujesz nocy za dnia. I dla kogo parodia ta. I po co i dlaczego. Wzięło i się zaczęło. I trwa. I rację ma. Ten co się zna i temu co zimno za dnia. Każdy końcem nosa wyczuwa. Jaka pogoda i dlaczego sójka fruwa. Wiedzą to tu. Wiedzą to tam. Że Bóg otworzył już swój święty kram. Oddaje siebie. W zamian za Ciebie. W wielkim połączeniu. Zakosztujesz w istnieniu. Ogłasza to Pan na lewo i prawo. A Ty się głowisz. I mówisz, idę żwawo. Może coś na przecenie tutaj dostanę. Może od Boga. Potrzyma mnie trochę za ramię. Bóg. Przyjaciel. Bóg. Nie raczej. Wiele potrafi i wiele obiecuje. A niewiele to człowieka kosztuje. Ale nie zrozumiesz, póki prawdy nie umiesz. Światem nie strzelisz. O bok kądzieli. Dopóki nie staniesz się myślącym. A potem wiedzącym. Nie zrozumiesz tego klocka. Gdzie pasuje. I po co młocka. Żeby umieć trzeba żyć. A nie ciągle telewizyjny pic. Komputerowe zawirowanie. Po co. Co z tego na pierwszym planie. I się tworzy nowy postument. I widać już w metodzie kierunek. I działa i zadziała. Ten który by chciał. I ta, która by chciała. I się tworzy wielki świat. W Bogu, albo w zatraceniu. Już od wielu lat. Czy zrozumiesz, czy posłuchasz. Ile dasz od siebie. A ile udobruchasz. Wiele. Jest naleciałości w Boskim Kościele. I możesz to zobaczyć. Nie tylko co niedziele. Wiele jest dnia i wizja ta. Wpływa. A nie sprawdza, kto o co gra. Wiele jest słów i powiesz, tchórz. Tworzy tchórzliwe nowe głowy. I tak się rozprzestrzenia. Trochę tego, trochę tamtego. I tak się nie zmienia. Ważne, że masz coś do powiedzenia. I się wzbranasz. I zabraniasz. Tworzysz. Albo gonisz tego drania. I zaczynasz i nie kończysz. Już wydano za Tobą list gończy. Jak zareagujesz. Kogo wypatrujesz. Po co i dlaczego. Jak kogo traktujesz. I komu usługujesz. Ważne to. Przy końcu. I się zastanawiasz. Co to wszystko znaczy. Ktoś i Zet. Siedzą. Jednak nadzy. I myślą lub nie. Wszystko wokół nich zmienia się. I Tworzą swoją niszę. Swoją prywatną ciszę. I myślą ile da. To co dobrze się ma. Opowiedz mi swoją historię, powiedział Zet. Jest długa i powtarza się jak papuga, powiedział Ktoś. Zaryzykuję. Posłucham. Pouczuję. Wiem, że jakąś masz. Mówi mi to Twoja twarz. Ktoś na to, dużo w niej Boga. Bo dla Boga staram się mieć czucie w nogach. Dobrze, odpowiedział Zet. Słucham. Za i przed. Ale zanim zacznę, zamówmy sobie po piwie, powiedział Ktoś. I zamówili. I w siebie uwierzyli. Ktoś zrozumiał, że zostanie mówcą. Zet, słuchaczem. Nie może być inaczej. Nie może być źle. Gdy dwie takie osoby spotykają się. I mają coś sobie do powiedzenia. I nurtują je kolejne chcenia. Bo każdy nosi w sobie historię. Prawie ciekawą. Niektórzy lelawą. Ale się trzyma. Historia ta. Ktosia. Co miał słowa dwa. Bóg i prawda. Od nich zaczynał. Szukał ich wszędzie. Innych słów się nie miał. Na tym jego życie polegało. By dożyć do jednego, ze zrozumieniem drugiego. Tak to jest. Że nie ma szczęścia bez tego. Trzeba się powtarzać. Trzeba na siebie uważać. Nie można zawodzić. Ani pozorów stwarzać. Trzeba się dobrze czuć. Jak idealnie dopasowany but. Trzeba się na czymś znać. Oby tylko dało się przy tym spać. Żebyś zrozumiał i się rozanielił. Żebyś uwierzył i jak krowa się ocielił. Wydał na świat prawdę. Na tym to polega. Nie tylko zrozumieć i uwierzyć. Choć to też trzeba. Ale samemu musisz urodzić to zwierzę. Prawdę, która daje tyle ile bierze. I się obraca. I ciągle rotuje. Tak

jak Ty. I dobrze się z tym czuje. Prawda jest jednak wymagająca. A nie jak wielu, ciągle tylko chcąca. Prawda potrafi zrobić zaskoczenie. Myślisz i wiesz. Po co Ci liczenie. Do czego doprowadzi i komu nie wadzi. Po co się człowiek na człowieka sadzi. Nudzi Cię życie, to oddaj go w zachwycie. Nudzi Cię wiara, to może nie ta para. I właśnie, zaczyna Ktoś. O takim sparowaniu chciałem powiedzieć coś. Pary szukam. Od wielu lat. I rozumiałem. Że trzeba iść przed siebie a nie wstak. Ale zanim powiem o końcu. Opowiem jak to jest żyć w pełnym słońcu. Opowiem jak to kiedyś było. Gdy niejedno moje marzenie się spełniło. Opowiem o życiu pełnym zachwyty. I o Bogu. W każdym, nie tylko w nas obu. Opowiem historię, jakiej jest brak. Powtórz. A zrozumiesz, czego Ci brak. Zet się zastanawia. Trochę się obawia. Co to za tajemnice. Co to za zapisane ciurkiem stronice. Te jego lata i jego doświadczenia. Czy to jest strata, czy kolejny powód do istnienia. Ile pomoże a ile przeszkodzi. I dlaczego młodzi ludzie nie zawsze są młodzi. Co mu odpowiedzieć i po co prosto siedzieć. A może się zgiąć i z historii najlepsze dla siebie wziąć. Wyciąć. Przyjąć i zostawić. Na wietrze można się choroby nabawić. Jeśli mroźny. Jeśli wieje. Z deszczem. Albo śniegiem. Tworzy kolejną zawieje. Można, ale nie trzeba. Można. Jeśli taka potrzeba. A jak będzie, dowiesz się gdy pójdziesz po kolędzie. W zaświatach. Kolędować, to mieć brata. Nie kolęduje się bowiem samemu. Trzeba żyć. I dać sobie drugiemu. Trzeba być a nie się rozdawać. Sklejać i rozbite spajać. Do kupy. Razem. Pewnie się trzymać. Tym razem. I już nigdy. Nigdy nie przeginać. Nigdy nie zaczynać. Jeśli nie wiesz po co się kończy. I tłoczyć. I moczyć. Kolejny list gończy. Słowo słowo skończy. Myśl myśl omączy. I robi się człowiek śpiący. Czasami. Nie zawsze. Jak to między słowami. Od biedy. I z przypadku. Nie dostajesz życia w spadku. Sam. I nie przez przypadek się tutaj rozgościłeś. I twórz i burz, to co dla złego zrobiłeś. Twórz miłość, burz złość. Twórz nadzieję. Burz intelektualną breję. Wszystko masz w duszy. Dusza się napuszy. O ile jej pozwolisz. O ile twardo stoisz. I powtarzasz co mówi. I radość jej sprawiasz. A nie na siłę, pozytywnie ją nastawiasz. Dusza. Pokutuje, albo się raduje. Dusisz duszę sznurem i nazywasz gburem. Może tak czasem być. Ktoś, kiedyś zabronił pić. Ktoś kiedyś zabronił jeść. I więcej zakazów. Powiedział, cześć. Nie ustało się, bo się nie dało. Nie zostało, bo się zdublowało. Głupota podwojona, to głupi mąż i głupia żona. A dla nas normalnie. A dla nas nienachalnie. Tworzy się, żyje. I bije mrówki kijem. Coś się powtarza. Coś dobrze rokuje. Człowiek, człowiekowi. Drzewo, na drzewie maluje. I się cieszą. I podskakują. Bo drzewo na drzewie malują. Performens. Kapibara jego mać. Lepiej być sobą a nie na tronie stać. I wymachiwać. I wszystkich uszczęśliwiać. Paradę głupców. Pokazywać. Nie ukrywać. Tylko nawzajem się przezywać. Ciołek. Kołek. Jeden drugiego. Za włosy pięknego. Trzeci czwartego. Na pół rozdartego. I marnie. Marnotrawnego. I skrajnie. Dostrojonego. I karnie. Ukaranego. Słowo, słowego. Naznaczonego. Słowem. Obumartego. Czyimś rozdartym gardłem. Dostosowanego. Do odmiany i uciążliwej zmiany. Do peonii i ktoś znowu dzwoni. To po mądrość. Albo po Ciebie. To dla mądrości. Proszą, właśnie Ciebie. Abyś zrozumiał. Jak ten świat jest zbudowany. Abyś naprawił. I sprawił że Bóg na tym świecie został poznany. Nie ważne. W jakiej religii. Nie ważne. W jakim kraju. Ważne, że trzymasz się kurczowo tradycji i zwyczaju. I jesteś przy tym sobą. Nie zatraciłeś siebie. Zostałeś wolny. Nie klaszczesz na własnym pogrzebie. Ważne, że stoisz. I cieszysz się prostymi plecami. Albo skrzywionymi. Jak moje. Tak, między plecami. Rozmowa i poznawanie. Ciągłe na nowo się stawanie. Życie na pierwszym planie. I na śmierć się nie oglądanie. Zostaje. Po człowieku to co zostać musi. Pamięć. Sterta papierów. Masz czym być. Na końcu się udusi. I bierzesz na barki to co może zostać zabrane. Musi. Być uznane i

dostosowane. I się staje. I pokazuje. Że dobrze się z samym sobą czuje. Pokazuj. Czuj. Stawaj się. A nie gumę żuj. I zaczyna się opowieść. I Ktoś niesie tą wieść. Historię jednego domu. Którego nie udostępnia nikomu. Historię ostatniego piwa. Które się powoli zbliża. Wypij to ostatnie piwo z Ktosiem. A owocne będzie żniwo. Ale zanim nastąpi ostatnie. Muszą być poprzedzające. Mocno wydatne. Pierwsze nie może być ostatnim. Tak jak narodziny śmiercią. Ktosiu. Mówić w końcu zacznij. Zanim poranek otoczy nas mgłą.

### **Historia pierwszego piwa**

Barman podaje im piwo. I Ktoś zaczyna żywo. Byłem kiedyś mnichem. Katolickim. Wicher. Jak burza się zaczęło. I jak burza mnie wciągnęło. W Katolicyzmie ważne jest oddanie. Zawierzenie. Na pierwszym planie. Nie jakieś puste gadanie. Tylko cześć miłości oddawanie. Miłości, której uczył Jezus. Z miłości która pączkuje. Rośnie i z człowiekiem na stałe się łączy. Miłość. Co całe zło zastępuje. Miłość, co dla siebie samej ucztuje. Szanowanie drugiego człowieka. I w jego problemy się wczuwanie. Nauczanie. Samego siebie. Czerpiąc z Jezusowego. Mądrości Jego samego. Nie jakieś problemy. Choć na problemy nie można zamykać oczu. Nie jakieś ściemy. Choć gdy ściemnia się demony chichoczą. Trzeba na nie uważać. Nie pozwalać im zagrożenia stwarzać. Trzeba z nimi walczyć. Miłością je obarczyć. A nie ogniem i nienawiścią. Same tego chcą. Po to są i po to prowokują. By nas zmienić w nie same. By swój los odmienić. Te dranie. Nie łatwo je wypłenić. Znikają jedne pojawiają się inne. Znikają inne, pojawiają się takie, co udają niewinne. Człowiek potrzebuje oddechu. Nie dostaje. Walka z demonem katorgą się staje. Mnisi katolicy to prawdziwi wojownicy. Próbuje i walczą w obłąkanej stolicy. Mnisi próbują i ciągle się zmieniają. Walczą i wszystko z siebie dają. Takie to życie. Taka ta historia. Że nie każdemu jest pisana gloria. Jednak dobrze trzeba swe obowiązki wykonywać. Dobrze zaczynać i mądrze ze złem pogrywać. Gasić umiejętnie. Mądrością niechętnie. Wszystko bez rozumu. To dusza wybija się z tłumu. Katolicyzm o niej nie zapomina. O duszy i od niej zaczyna. Katolicyzm to walka ze złem. Duszą. Poprzez miłość. I walczyć tak chcę. I to nie jest tak, że z czasem to się zmieniało. Byłem mnichem dwa lata. I wiele razy się to stało. Że jedno drugie zabierało. Że drugie pierwsze odwiedzało. I bitka. Na słowa. Miłości mowa. I bitka na gesty. Kolejne szelesty. I zmyły. I na zmianę pory. Nawracanie. I z Bogiem się jednanie. I tworzenie. Miłości. To nie lenie. I naznaczenie. W dobro się zmienienie. Ktoś pyta. Ja odpowiadam. Ktoś się zastanawia, po co człowiekowi zwada. Ale już tak ten świat jest ułożony. Że jest dobro i zło z drugiej strony. I się ścierają. I sobie spać nie dają. Zło atakuje. Dobro się jak zawsze prawuje. Odpiera. Naciera. Dobro, zło. Dzwonię, nikt nie odbiera. Unikają rozgardiaszu. Unikają hałasu. Po prostu się leją. I ogniem z paszczy zieją. Ale trzeba wiedzieć po której stronie stać. Mnich. To prawdziwa brać. Jeden za drugi stoi. Jeden i drugi się zła nie boi. Jeden i drugi pokazuje. Od czego człowiek się dobrze czuje. Bo człowiek ma swoją naturę. Uczucie. A nie bzdurę. Bo człowiek ma swoje przyzwyczajenia. Byłe dobre. Złe są do zniszczenia. Do zakopania, tak by nigdy się nie znalazły. Do odgruzowania, jest sentyment chłodny. Do rzeczy poznanych. Lub poznawalnych. Wie to ten. Który mierzy. W sposób niemierzalny. I tworzysz. Samego siebie. I mnożysz. Dary dla siebie. Łaski. Które kumulują się w niebie. Z nieba pochodzą i do nieba wracają. Dobrem się stają. I nie zawracają. Słowa. Mowa. Życie. Podkowa. Coś upada, ktoś odpada. Coś na darmo zakłada. Zdarza się. Że zwada. Mówi

się. Dobra rada. A potrafi i się zgasi. A się stworzy postać która mnoży. Objawienie. Przejawienie. I Jego się pojawienie. Jest. Potrafi. Musi i trafi. W katolicyzmie, jedynym komunizmie. Który kocha. Bo inne nie kochały. Który podaje rękę. Bo inne nie podawały. Zachować się nie umiały. Tylko coś ciągle zmieniały. Tylko coś niby poprawiały, a tak naprawdę nic z siebie nie dawały. Trzeba, być sobą i kochać kawałek chleba. Jezus żywy. W nas. We mnie i tobie. Zobaczysz, że się odnieda. O ile wierzysz. O ile uwierzysz. Że to wszystko się dzieje. A nie tylko, że zły się z Ciebie śmieje. Jeśli tylko zrozumiesz. Że życie swoje umiesz. Jeśli tylko jesteś pewien. Że na końcu pozostanie jeden. I to płynie. I się nie kończy. Jak zdarzenie. Jak linę przyłączy. I ciągnie. I nie nachyli. Człowiek, którego nic już nie zmyli. Akcja. Niektórzy nie potrafią bez niej żyć. Reakcja. To znaczy, dla akcji żyć. Deklinacja, to deklinować w nadmiarze stosować. Narracja, to z narratorem się na rękę próbować. I schować. I trwać. I jestem jak brać. Trwam. Trwałem jako mnich. Dwa lata, to nie na gruzowisku spych. Nie spychałem. Rozpychałem. Boga innym pewnie dawałem. Bo wierzyłem, że inaczej się nie da. Bo umiałem, nie tylko skutecznie sprzedaż. Ale kupowałem. Ludzkie historie. Ale starałem się. Widzieć świat jak alegorię. I wierzyłem, że to się uda. Ale na końcu zjadła mnie nuda. Może. Nie wiem. Sam zresztą kto. Podarował mi w prezencie zło. Odwróciłem się od zła. Ale ono w moich uszach dalej gra. I idę i płonę. I już na nowo tonę. I wezmę i oddam. To czego już nie mam. I się zastanawiam. Jaki problem sprawiam. I próbuję nowy schemat. I rodzi się przy tym nowy temat. Który mnie pochłania. Który powtarza, weź goń drania. Który krew buzuje. Człowiek się z byle czego truje. I na wiadomości nie odpisuje. Bo nie ma ja. Bo po co. Lepiej skupić się co mówi znak. I iść za nim. Nawet nocą. Być kochać i doceniać. Znaki. I w nie się wciąż zmieniać. Jaki. Będzie kolejny poemat. Nie wie tego nikt. Jaka wena. Gra w każdym mnichu. Bez weny nie dotknąłby wnętrza kielichu. Mnisi mają na wszystko sposoby. Nie dotyczą ich zwady i mody. Mnisi mają swój mnisi świat. Kochają. A niektórzy traktują to jako jedną z wad. Mnisi. Próbuja. Czasem się siłują. Mnisi się pobożnie zawsze zachowują. Jak brat brata. Trzyma jeden drugiego. Tworzą koło. Dla celu. Publicznie nieznanego. I myślą i się zachowują. Kochają. A nie się buntują. Choć czasem któryś się wycofa. W świecie się zakocha. Albo szuka odpowiedzi. Jak ja. Wszędzie. Nie chce utknąć w niewiedzy. Nie chce ograniczyć się do płaskiego gdakania. Woli smak następnego poznawania. Żeby wyłapać gdzie leży On. Bóg. Najwyższy. A od złego won. Gdzie by nie patrzeć. Gdzie by nie szukać. Nie można, że złem się stukać. Ramieniami i uśmiechami. Zło trzeba bić. Starymi cepami. Zaprawionymi w bojach. A nie w wieloletnich przestojach. Zaprawionymi w prawdzie. A nie kolejnych znojach. Bądź i kochaj. Żyj, nie szlochaj. Mnich Ci powie. Mnich Ci podpowie. Kochać, rzecz piękna. Tęsknić, niechętna. Ale do Boga, to świetna przynęta. Ściąga Go to do Ciebie. Tęsknota kończy się w niebie. Uczy i zastępuje. Żyje i w żyłach buzuje. W miłości siła. Mnicha i dla mnicha ożyła. I rozumiałem to i kochałem, ale spróbować czegoś innego chciałem. Zrozumieć cały horyzont a nie tylko wycinek. Skosztować a nie próbować. Być i nowym życiem żyć. Życia nie oceniać. Tylko się na lepsze zmieniać. W innych tradycjach. W miłości. Nie fikcjach. W innych zakamarkach. Każda religia jest uwagi warta. I coś to dało. Na coś się przydało. I wystąpiłem z zakonu. Katolickiego domu. I poszedłem gdzie indziej. Poznać i zrozumieć świat. I stałem się kimś innym. Który jest taki jak kolejny znak. Po znakach bowiem poznaje się mędrca. Znakami się mędrca rozkręca. I daje się mu napęd i sens jak kolejny kęs. I sprawia się, że nie wybiera kolejnych smakowitych mięs. Tylko byle co. Bo światowe życie to tylko tło. Nie ważne jaka religia i jaka tradycja. Światowość to zawsze taka sama fikcja. Ale Katolicyzm dał mi wiele i. Nie zapomnę. Ile



uśmiechów sprezentował mi. Trochę tego. Trochę tamtego. To tak nie działa. Trzeba zdecydowanego ciała. Jeśli zmieniasz otoczenie. Zmienia się także Twoje tchnienie. Jeśli zmieniasz znów swój świat. Nie możesz zabierać ze sobą bagażu starych wad. I ja nie zabrałem. I w podróż się wybrałem. By poznać nowe światy. I odpowiedź, czy ja to ty. I wiele poznałem. I wiele się nauczyłem. A przy drugim piwie, powiem Ci co dalej robiłem.

### **Mowa, na zmianę gotowa**

Wierząc w Jezusa  
Poznajesz co to otucha

Każdy mnich wie  
Co w człowieku dzieje się

Jakie zmiany  
I jakie pytania

Nie trzymaj się kurczowo  
Własnego zdania

### **Historia drugiego piwa**

Barman podaje im drugie piwo. Nie dziwią się. Ktoś kontynuuje żywo. Zostałem mnichem buddyjskim. W Tajlandii. To nie to samo co praca zarobkowa w Holandii. To coś innego. Do mnicha katolickiego bardzo podobnego. To praca nad sobą. Cały czas. Jesteś pracy ozdobą. I wypadkową. Tego co wymedytowałeś i tego czego chciałeś. Właściwa mowa. To dobre słowa. Właściwy czyn. Śpisz razem z nim. Właściwe myśli. I wiesz co Ci się przyśni. Właściwe życie. To skromne przeżycie. Pracując nad ciałem i doskonaląc ducha. Pracując nad myślą. Ducha to nie rusza. Cieszy się tylko i podskakuje. Oświecenie. To to, czego próbuje. Za czym tęskni i czego oczekuje. Oświecenie z człowieka nie żartuje. Tylko zaprasza do tańca. Czy skorzystasz, czy będziesz się zastanawiał, dlaczego nie masz kagańca. Buddyzm tylko w teoriach różni się od katolicyzmu. W praktyce to miłość drugiego. I szacunek do niego. W Buddyzmie tylko o Bogu zapomnieli. I tłumaczyłem im. Że On jest. Wystarczy, że by go chcieli. Ale nawet nie wierząc korzystają z Jego łask. Niby nie ma. A spełniają nakazy. I trzask. Litościwego serca. I radowanie się, czuły morderca. I ręk składanie i się kłanianie. I wielogodzinne medytowanie. Dążenie do doskonałości. Próba osiągnięcia czystości. Wyrzeczenie się pieniędzy, rząd. Życie w nędzy. W Bogu. Chociaż o Bogu głośno się nie mówi. W Bogu, co być nierozpoznany lubi. Taka religia. Taka filozofia. Aby pracować nad sobą. Mnisia robota. Więcej pokłonów. Więcej zgonów. Więcej zamiatania. Więcej dogadywania. Wspólne śpiewy i recytacje. Powtarzanie i orientacje. Mniej oddychania. Mniej dogadywania. Mniej myślenia, mniej mówienia. Mniej życia, mniej zabicia. Nie ważne, ważne. Odważne, równoważne. Cisza. To nas uczy. Buddystę cisza tuczy. I jako buddysta czułem się dobrze. Tak jak katolicki mnich. W pełni swobodnie. Chodziłem i

byłem przez chód doceniony. Tęskniłem i byłem przez tęsknotę przytulony. Trening mnicha trwa całą dobę. Nie zatrzymuje się ani na chwilę. Jeśli liczysz na swobodę. Źle trafiłeś. Tutaj są rygory. Zakazy. Cała masa. I ciemne stwory. Które kuszą. Tak jak w katolickim klasztorze. Które myślą. I w głowie je mnożą. Nie zabijać, brzęczy mi w uszach. Jem suchy ryż. Muszę wciąż duszą poruszać. Muszę udowadniać, że oświecenie to jest cel. Dążyć. Pracować. I mówić, weź się zmień. Rygory potężne. Budują człowieka. Rygory wciąż prężne, wiedzą na co czeka. I idziesz, i kroczysz. Jako mnich przez życie. I stajesz się. I tworzysz. Kolejne przeżycie. Żyjesz tylko z tego co uzebrzesz od ludzi. Prostota. To szacunek budzi. I jedząc byle co. Dbasz o duszę, że ho ho. Myślisz nie o jedzeniu. Ale o kolejnym posiedzeniu. Medytacyjnym uspokojeniu. Cisza. Cisza. Powietrza nie miesza. Jest jakie jest. I taki powinien być zwierz. Człowiek. Chmura. Każdy. Być sobą. A nie nienaturalna postura. Postawa. Przygnębiona sprawa. Trzeba uważać czym się zaczynasz stawać. W co się zmieniasz i przeistaczasz. W co inwestujesz. I dlaczego się zatracasz. Mnich buddyjski to wojownik dobra. Ciszy. Skromności. Pokory. Nie złości. Bez nałogów i światowego zepsucia. Bez kłamstw, oszukiwania i gumy żucia. Bez zachodniego wiatru. Tylko wschodnia cisza. Nie ma poruszenia. Wszystko to ta sama klisza. Zatrzymanie. Brak. Nawet nie najdrobniejsze liścia poruszanie. I się zakładanie. Z samym sobą o wzrastanie. I tworzenie. Miłości, nie jesteś cieniem. Praca, praca, praca. Oświecenie. Zwraca, zwraca, zwraca. Natchnienie. Buddyizm wypełnia człowieka. Natchnienie prosi. Nie czeka. I się cieszysz za dnia. Co przyniesie kolejna przygoda. Kolejna rozmowa z kolejnym człowiekiem. Czego się dowiesz. A może jestem mlekiem. A może jestem spojrzeniem. Albo spojrzenia cieciem. Kim jestem. Mniczem. Czystości manifestem. Buddyizm rozumie to bardzo dobrze. Buddyizm uczy. Że tylko w czystości swobodnie. Nie ma wolności po amerykańsku. Jest cisza. I pies bezpieczeństwa. Bo niby przynależysz do religii. Niby przynależysz do mnichów grupy. Ale jesteś Ty jako całość. I całość jako Ty. Zawarty. Z butów wyzuty. I się zastanawiasz. Co jeszcze mogę zrobić. Jak złemu przeszkodzić. Jak się bronić i wybronić. Dlaczego od uciech trzeba stronić. To wiesz już dobrze. Od dawna to wiesz. Że jesteś na tyle dobry ile tego dobra zjesz. Wchłoniesz. Przyjmiesz do siebie. Dobro. Miłość. Samo siebie nie grzebie. Dobro, miłość, chce wzrastać w każdym z nas. Śpieszmy się żyć. Póki życia ziemskiego czas. Co do reinkarnacji to najważniejsze, że jest coś poza ciałem. Że nie jesteśmy zwierzętami. Tylko mięsem i kałem. Że jest coś więcej. Buddyizm to podkreśla. I że jest życie po życiu. Nie trzeba Ci nic więcej. A czy przyjdziemy na ten świat drugi raz. Nie wiem. I nie do końca wierzę. Myśląc drugi raz. Nie mogę zaprzeczyć, ani potwierdzić tych słów. Mówca zawsze ma przygotowany plik kolejnych mów. Ja mówcą nie jestem. Chce zrozumieć świat. A nie Bogu grzebać w papierach. Tak od wielu lat. Nie przekonuję do reinkarnacji. Ani nie krytykuję. W katolickim niebie jednak więcej człowiek zyskuje. Ale nie chodzi mi o zysk. Ale o to, żeby być w zgodzie ze sobą. O to żeby, nie tworzyć dogmatów. Ani nie zastaniać się głową. Nie wiem. Nie byłem. Ręki tam nie położyłem. Więc się nie upieram. Wiem, że dobrze zrobiłem. I trochę ponad dwa lata w buddyzmie tkwiłem. I w trochę ponad dwa lata bardzo się zmieniłem. Dorosłem. Uspokoilem się. Nerwy ukoilem. Sporo rozumiałem. I wiele się nauczyłem. Cieszę się. Wspaniały to był czas. Budda wpłynął na mnie. Zainspirował i powinien cieszyć każdego z nas. Nie rozumiem dlaczego się go odpycha. Uważa za dziwaka. A to był wielki filozof. Postać. I nie kura która gdaka. Tonął w znakach. Pięknie mówił. Tworzył. Miłość. I ze złem się nie lubił. Powinien być doceniany i poznany. Chociaż nie był Jezusem. Ale był sobą. Jak Jezus. I świata ozdobą. Nie chodzi o to, aby ich porównywać. Ale żeby siebie samego na nowo odkrywać. Pracować. Wiedzieć jak się

zachować. Gdzie nogę postawić. Się zjawić. Poprawić. I dobrze się w życiu bawić. Z samym sobą. W ciszy. A nie w pogodę burzową. Gdy burza robisz swoje. A nie czekasz aż minie. Nawet jeśli pada, nie przeszkadza to zadowolonej minie. Przeszkody i trudy, pomagają wzrosnąć. Życie i przeżycie. Pomaga się otrząsnąć. Z letargu. Ze snu paskudnego. Robisz swoje i nie mówisz nic, do niczego. Nie prowadzisz dialogu z niczym. Nie przegrywasz. Nie palisz zniczy. Nie wygrywasz. Wznosisz się, opadasz. Nie. To buddyjska rada. Jesteś sobą. Jesteś rad. Jaki by nie był niesprawiedliwy świat. Nie oceniasz. Nie pozycjonujesz. Świata na nowo nie rujnujesz. Budujesz siebie i pokazujesz innym to. Co zrobieś. Co zbudowałeś. A nie wewnętrzne zło. Wyrzucasz z siebie siebie. Pozostajesz gwiazdą na niebie. Mówisz gestami, mówisz znakami. I masz gdzieś, co się dzieje pomiędzy słowami. Byleby muzyka grała. Byleby nie przestawała. Byleby działa się. Dobro, żyło i chciało. I tworzysz. I mnożysz. Budujesz, nie psujesz. I ciągle dobro pielęgnujesz. Pielęgniarsz. Dobra żeglarz. Pielęgniarka. Dobra kucharka. Co wieczór gotuje na rano. Co wieczór doprawia śmietaną. Ale w Tajlandii śmietany nie spotkałem. Może jej za mało chciałem. Nie potrzebowałem. Było co było. Cisza. Tego wymagałem. Wymagała. Cisza ode mnie życia chciała. Chwili pachnącej. Melodii tkwiącej. Krew w żyłach burzącej. Przyspieszającej. I dobrze. Stało się to co stać się miało. Żyło dopóki się nie rozlało. Powiedział ktoś. A mnie ciągle mało. Bo widzę innych zmagania i troski. Bo życie dostarcza mi element Boski. Bo wierzę. Pragnę. Jak głodne zwierzę. Boga. Że go nie ma, nie uwierzę. I tak idę dalej. Rozmyślałem o życiu. O śmierci. I o niebyciu. O zniknięciu całkowitym. Czy to możliwe. Zgasto. Światło prawdziwe. Dla wielu. Może. Niech mają wielmoże. Ja nie. Ja wolę pracować nie główkować. Więc pracuję nad sobą i siebie czuję. I w taki sposób, ciągle życia próbuję. I się nie zachłystuję. I się nie przeterminuję. Po prostu. Jestem. Po prostu. Gestem. I tworzę figury. Miłości wichury. Każda figura ma swe przeznaczenie. Jedna figura zasłania się swoim cieniem. Ale próbuje i nie próżnuje. Ale się stara. I ma receptę na dolara. Aby go nie potrzebować. Aby przed nim się chować. I dobrze. Wychodzi i żyje. I dobrze. Wody się napije. Zimnej. Chłodzącej. Czysto orzeźwiającej. I woda obudziła mnie. Czy oświeciła. Siebie pytam się. Gdy pytasz to nie. Dopiero kiedy przestaniesz. Gdy już nie pytasz. Masz odpowiedź na każde pytanie. To jest oświecenie. Cisza. I każde tchnienie. Osobne obudzenie. Każdorazowe ochłodzenie. I wiesz, że dobrze wybrałeś. Siebie. I więcej nie chciałeś. I wiesz, że życie ma sens. Kiedy nie interesuje Cię jak smakuje kolejny kęs. Jeden jest lepszy inny gorszy. Nie ma tego, mój najdroższy. Nie ma lepszego, nie ma gorszego. Jest życie i nigdy się nie odwracaj od niego. Buddyizm tworzy. Nie oczekuje. Cieszy. I patrzy jak człowiek raczkuje. Później wstaje ale się trzyma. Na końcu chodzi sam. Nie potrzebna mu do trzymania rodzina. Chodzi. Nauczył się. Biega. Kocha i nic więcej mu nie potrzeba. Jest wiara i zawierzenie. W Bogu twierdzenie. W Buddzie objawienie. Bo Budda został przez Boga zesłany. Nie może być inaczej. Dla niektórych to rany. Choć Budda nie kazał wielbić Boga co dnia. Dlaczego. To zastonięta tajemnica. Ważne, że stworzył i słowo mnożył. Miłość. I dał ją ludziom. Nauczał dość. Ważne, że nie zrezygnował i nie zrezygnuję ja. I do końca życia zostanie mi częśćka ta. Tego co poznałem. Tego co spróbowałem. Częstka miłości którą dostałem. Od zwykłych ludzi na buddyjskiej wsi. Już zawsze brakować będzie ich mi. Zdecydowałem jednak iść dalej. Pójść, zmienić otoczenie. Zdecydowałem, weź mi wody nalej. I zareagować na Boga skinienie. Udałem się do Indii. I tam szukałem sposobu. Kolejnego nauczania. A nie traktowania siebie jak lodu. Człowiek, który się topi niczego nie zrozumie. A nawet jeśli coś pojmie. To brak, powie na końcu, umiem. Umieję nicość. Umieję brak. I tak to jest, kiedy się chodzi wspak. Ja tak nie chodziłem. Ja tak nie chciałem. Ja kolejną przygodę

sobie przygotowałem. I ją przeżyłem. I na lepsze się zmieniłem. I mnie dopracowała. Deskę z deską sparowała. I jest. Wyzwanie. I moja odpowiedź na nie. Kolejne poznawanie. I Boga na stopę łapanie. W innym kraju. Przy innej muzyce. Melodii co pobudza kolejną anielicę. I posłuchaj mnie uważnie. Dzielę się tym co mam. Postępuj w życiu rozważnie. Życie to nie byle kram. Ja swoje przeżyłem. Swoje zobaczyłem. I przestrzegam. Oraz mówię na czym polegamy. Zrozum jeśli jeszcze nie rozumiałeś. Miłość. To jest to, czego całe życie szukałeś.

### **Mowa, na zmianę gotowa**

Mnich jest mnichem  
Bez względu na wyznanie

Mnich jest skromny  
Efekty. Patrz na nie

Korekty. To czasu składanie  
Poprawianie. To ciągle się zmienianie

Na lepsze. Dla Boga  
Dla siebie. Boża ochłoda.

### **Historia trzeciego piwa**

Barman podaje im trzecie piwo. Ktoś kontynuuje. Rządy mądrości sprawuje. Słowem. Nie chłodem. Orzeszkiem, nie głodem. I mówi: Zostałem Sannjasinem w Indiach. Hinduistą. Ascetą. Wędrującym poetą. Kolejny etap mojej podróży. Mojego poszukiwania. Które mi się nie dłuży. I przez kolejne lata się umartwiałem. Dwa lata w Indiach się o laskę opierałem. I byłem. I żyłem. Wyzwolenie. To to do czego dążyłem. Wolny duch. Umartwiony. Bez problemów, dzieci, żony. I poszukiwanie. Samego siebie. I znajdowanie. Znaczenia w każdym pogrzebie. I w każdym narodzinach. Co się rodzi. I o samych narodzin przyczynach. Wyzwolenie to nie chcenie. To nie udręczenie. Ale naprawienie. Samego siebie. Ale zrozumienie. Tego czego nie wiem. Nie można nadinterpretować i się przed życiem chować. Wie to każdy Sannjasin. Każdy hinduski džinn. Są tacy. Zostali. Choć lepiej nie spotkać się z nim. I przemierzyłem góry. Doliny. Rozmawiałem i się umartwiałem. Żebrałem. Bo żebrać chciałem. Bo pieniędzy nie miałem i zarobić nie umiałem. Z wiary trzeba wyżyć. Bóg daje siłę by żyć. Do Bogów się modliłem. I rozpałem. Choć sam się tliłem. Ale z czasem coraz bardziej. I niespodziankę sprawiłem. Sam sobie. Uwierzyłem. W siebie. I z sobą już się nie biłem. Zrozumiałem. Co jest w niebie. I już więcej nie chciałem. Hinduizm pomieszany. To Hinduizm udoskonalany. Nigdy nie od świata oderwany. Zawsze w miłości skąpany. Bo Hinduizm także uczy szacunku. I z miłości złożonego poczęstunku. I wiele na temat ułudy. Która w prostej linii prowadzi do zguby. Jak omijać, na co uważać. Dlaczego zło to potwór o stu twarzach. Jak nie wpaść w pułapkę, nie dać się złapać. I aby buzią wiecznie nie kłapać. Więcej słuchać. I posłuchać. Rad starszych i mądrzejszych. By cichaczem być słuchaczem. I skupiać się na

tematach najważniejszych. Tych co tworzą człowieka. Tych na które dusza czeka. Nie czekać. Działać. Modlić się i być jak skała. Modlić i i wypraszać łaski. Zdobywać i nie zważać na trzaski. Być sobą. To nie zachcianek ozdobą. Bez, ja chcę. Bez, ja wiem. Bez, ja muszę. Bez poruszeń. Ciągłość. To bardzo ważne w hinduizmie. By być kontynuacją. Życia atrakcją. A nie oderwanym od tradycji i historii. A nie być obcym. W ciele. Ongiś. Wiele się mówiło. Wiele się myślało. Ale do koniecznej zmiany się nie doprowadzało. Jako sannjasin wprowadziłem wiele zmian. Wyciszyłem się jeszcze bardziej. Już nie czuję własnych ran. Interesują mnie tylko czyjeś. Próbuję pomóc. Skręcam szyję. Zawija. I z radości wciąż ucztuje. Nie jedzeniem, bo go nie mam. Nie zechceniem, bo go nie dam. Tylko zawierzeniem. Z Bogiem połączeniem. Tą nicią złączeni. W miłości uwięzieni. Boskiej. Kremowej. Kolorowej. Miłości która łączy i sprawia, że zdrowiej. Miłości, która odkrywa i nie dzieli na połowę. I dążysz. Albo nie zdążysz. Dwa w jednym, podoba się gra. Dwa wciąż gra. Bez przyczyny. Ważna ta. Chwila co rozwijać się chce i czas umiła. Co buduje, nie próżnuje. I tworzy. A nie problemy mnoży. I poznałem. Wielu ludzi. Podobnych do mnie. I takich, którym się nudzi. I zrozumiałem, dlaczego chciałem. I co powodowało, że się zmieniałem. Naturalna droga. Wąska kłoda. Po kłodzie na drugi brzeg. Był już ktoś taki, ale zbiegł. Ja nie zbiegłem, ja zostałem. I dobrze się z samym sobą miałem. Hinduizm mi zmieszał się z krwią. Wiem to. Bo czuję ją. Czuję tę chwilę i te oczekiwania. Ich brak. I brak starania. Przyjmowanie życia takim jakie przychodzi. Jakie jest. Nie zmienianie. Nie szkodzi. A nie pędzenie ślepe ku przepaści. Bóg tego nie chce. Nie mówi, zaśnij. Bóg chce Twojego dobra i Twojej otuchy. Bóg chce widzieć, jak przeganiaasz złe duchy. A czy je przegonisz. Czy od ludzi stronisz. A co się zmieni. Na lepsze odmieni. Nie wiem. Nie mam pomysłu ani zdania. Nie pamiętam tego zadania i sprawozdania. Z tego jak to było i jak się skończyło. Z tego dlaczego się tliło i gdzie się pozbyło. Problemu i nadmiaru tlenu. Gdzieś. Ważne, że nie muszę dalej tego nieść. Bo bym nie doniósł. Szybciej bym zrezygnował. Bo bym się potknął i mądrość swą pochował. Na co i dlaczego człowiek chce być kolegą. Boga. Oby. To wielka swoboda. Bo czuje. Bo wyczuwa a nie tylko się snuje. Nie każdy knuje, tak jak nie każdy podryguje. A jak się to skończy. Jak rozwinie i zwiędnie. Chętnie. To odpowiedź na przeciętnie. I byłem, jestem sannjasinem. I wierzyłem, wierzę w wieczną przyczynę. W wyrwanie się z macek utudy. Uścisku złudy. I dążyć. I krążyć. I żyć dla Boga. I siebie. W tym cała swoboda. Żeby to połączyć. Żeby to zrozumieć. Co znaczy żyć i co znaczy umieć. Żeby być. Tworzyć miłość. Tworzyć szczęście a nie litość. Kochać i w miłości się obracać. Próbować i nigdy nie zawracać. Być miłością, to nie znać się ze złością. Być miłością to nie zadowalać się kością. I się zadowalam. Ale nie pożądliwością. I się zadowalam. Ale nie kolejną zaległością. Bez obciążeń zwiedzam świat. Zwiedzam siebie. Od tyłu już lat. Bo świat to ja. Wszystko we mnie gra. Bo ja to życie. Kocham. Je znakomicie. I tworzę. Sam siebie mnożę. I bije. Moje serce. Kijem. Się podpieram i znowu zaczynam. Od nowa się uśmiecham i zginam. Od nowa trawię to co we mnie psuje. Wyrzucam. Od siebie. Nie chcę. Nie lubię jak buzuje. Jak się naciąga i znowu przeciąga. Zła nowina, co zostawiła u mnie syna. Złe przyzwyczajenie co kocha swoje tchnienie. Nienawidzić. Kocha nienawidzić. I ze mnie w dialekcie szydzić. I się zbiera. Znowu rozbiera. Słowo. Potęga. Wstęga. Zabić premiera. Krzyczy. A ja co na to. Zastąpię głowę kolejną szmatą. Nikogo nie zabiję. To nie w moim stylu. Kocham. I od zabijania z dal. Daję dylu. Albo dyla. Odmiana zamiana zabiera mi z dnia. To co istotne. To co zamienić się da. I tworzę, mnożę. To co inkrustowane. Piękne, kolorowe. Chciałbym, żeby było znane. Ale nie dla sławy. Ani dla obawy. Ale z miłości do piękna. Mądrzy zdają sobie sprawę. Sprawę. Poprawę. Zadrę. Obawy.

Kto dla kogo. Kto przeciw komu. Zdaje się, że muszę wracać do domu. Takie myśli przez głowę przechodzą. Takie słowa się w duszy rodzą. Gdzie mnie zaprowadzą. Czy aby mnie nie zdradzą. Ktokolwiek. Po co. Gdziekolwiek. Za co. Jedni nazywają Boga Panem inni za Jego zdeptanie płacą. Mnie pieniędzy nie potrzeba. Nie mam i nie oczekuję. Asceta nie musi. Nawet jeść. Codziennie za to główkuje. Ale precz. Z myślami i marzeniami. Albo gdzie i co się dzieje między słowami. I tworzę i mnożę. Słowo jak rzeka. Jedno i drugie w komorze. Byłem. Jestem. I nigdzie się nie wybieram. Znam zasady. I kartę dobieram. Kocham. Być. Tu gdzie jestem. Nikim. Nic. Nigdy. Zastaniam się gestem. A nie puste słowa kolekcjonuje. Zastaniam się życiem. A nie nad życiem główkuje. I jestem. Choć może nie powinienem. Wielu by chciało mieć mnie mniej. Wcale. I tak staje się marzeniem. Jestem marzeniem o braku. Jestem marzeniem o nieistnieniu. O nie przeszkadzaniu. I ludzi nie budzeniu. W interesie narodu jest spać i umrzeć z głodu. W interesie świata jest nie poznać brata. A ja inaczej. Trochę się wyłamuje. Dlatego tak wielu jest takich co na mnie pluje. Bo broni religii takiej i owakiej. Bo trzyma z Bogiem. W formie różnorakiej. Bo Bóg jest jeden i czeka na człowieka. A człowiek ma go gdzieś. Bo na wypłatę czeka. Na brzdęk pieniędzy a nie łaski Boże. Ja wolę wypłatę, która wzrosnąć mi pomoże. Ja wolę, nie stratę. Tylko wynagradzanie. I kiedyś z czystą miłością spotkanie. Ja wolę kochać i się poświęcać. A nie nad samym sobą się znęcać. Są rzeczy których mi brakuje. Stop. To nie moje słowa. Ja się nie podpisuje. Nad brakiem. Są znakiem. Pod słowem. Co stopuje głowę. Chwila. Przemilczenia. Chwila. Wyciszenia. Ukłonu dla Pana. Proszenia od rana. O natchnienie. O przybliżenie. O wiarę i spoufalenie. Spoufalogy. To przez Boga odmieniony. Spoufalogy. To dla Boga, zostawiony. Bo dla Niego trzeba żyć. Sannjasin wie. Żyć to wciąż być. Na wyciągnięcie ręki. I głosu. Wciąż poprawiać wymowę i resztki pogłosu. I tworzyć, miłość dzień za dniem. Walczyć z cieniem, spokojem i hen. Daleko jest człowiek co wierzy. Kiedyś się spotkamy. Na łonie macierzy. Na łonie spokoju gdzie wszyscy z jednego źródła. Na łonie wierzy. Ten który wciąż bieży. I się zbliżasz do rozwiązania. I kolejne pytania zbliżają się do tego drania. Co wie wszystko. A przynajmniej tak mu się wydaje. Co zamienia sam siebie. Odpada i zostaje frajer. Wykolegowany. Na pastwę wychowany. Niedoczekany. Pseudo-mędrzec wymądrzany. Siebie, Ciebie i do zatracenia. Mnie i jego, nie ma tego cienia. Wszystko się zmienia i zatacza kręgi. Wszystko żyje i pyta którądy. Każda trawa i osobna roślina. Nie jest osobna. Tak tajemnica się rozpoczyna. Tajemnica jedności. A nie pożyteczności. Tajemnica współczucia. Samemu sobie. Uczucia. Ile trzeba wycierpieć. Ile zrozumieć i ścierpieć. Ile trzeba zapomnieć. I zostają noce chłodne. Sannjasin wie. Bo niebo mu podpowiada. Że tylko byle kto się w nocy skrada. Że trzeba otwarcie pokazywać swoją wiarę. Swe dążenie i swoje chcenie. Z Bogiem połączenie. W Bogu zatracenie. Sannjasin chce i może. Każde kolejne tchnienie. Zamieniać na piękno. Taka transformacja. Patrzysz, myślisz, co to w ogóle za akcja. A to tworzywo, duszy, spoiwo. Zespolona dusza, wie że dobro to ona. Zespolona dusza nie rozróżnia na religie i odłamy. Cieszy się. I z radości jedyny Bóg jest znany. Nie rozróżniaj i Ty. Nie ma religii i kast. Jest jedna kasta. Wyzwoleni. Mieszkańcy wsi i miast. Nie ma znaczenia, co o mnie pomyślisz. Mądry, oświecony. Ty mu się zawsze przyśniesz. Jeśli zapracujesz swoim zaangażowaniem. Jeśli potwierdzisz kolejnym staraniem. I się nie rozpadniesz, na drobne kawałeczki. I nie zrezygnujesz. Z wszystko wiedzącej teczki. Która nie istnieje. Z lasu zostały knieje. Które zmieniły kolor. I wydają się zaroślem moro. Kroczę. Przez świat. Przez siebie samego. Żyję dla Boga. W Trójcy Jedynej. Ale w każdej religii odkrytego. Ale dla każdego coś nowego. Bóg wie. I popisuje się. Bóg chce. I udowadnia, że wie. Czy ktoś zrozumie. Czy

rozumiesz to Ty. Że na nic Twoje uściski i łzy. Nic to nie pomoże. Oby zostało, Daj Boże. W niczym to nie przeszkodzi, ważne, że się dalej płodzi. Mądrość. Boska. Zarezerwowana. Dla tych, co trzymają się blisko Pana. I kolejna religia. I kolejny kraj. Coraz bliżej. I już czuję zapach. To Raj. Już się zbliżam, złemu nie ubliżam. Z miłością. I z czułością. A nie przereklamowaną złością. Zmierzę się na końcu. Sam ze sobą. Uderzę jedną wspaniałą ozdobą. Oddam drugą. Przygotowaną. Ważne co jest. A nie co niegdyś chciano. I się stało i tak zostało. Że w daleką podróż. Na to mnie skazało. Schyliłem głowę i się zgodziłem. W kierunku Chin się rozpędziłem. I Chiny poznałem. Z religijnej strony. Ale to już kolejna historia. Jak ziemi zagony. A sannjasinem zawsze w głębi serca zostanę. Choć już nie jestem w Indiach. Wszystko jest tu takie same.

### **Mowa, na zmianę gotowa**

Wyzwolenie to nie jest  
Zasłanianie się leniem

Wyzwolenie to jest  
Miłości pozwolenie

Aby działała  
Aby człowieka zmieniała

Na nowo formowała  
I radość z tego miała

### **Historia czwartego piwa**

Barman podaje im czwarte piwo. Czwarta historia to Chiny. Wcale. Nie bez przyczyny. Byłem. Widziałem. I na chińskim flecie zagrałem. Z bambusa. Bo co druga to była pokusa. Zakosztowałem w tao. Byłem Daoshi. Tyle mi z życia zostało. Poznawałem tao. Tworzyłem tao. Samym sobą. I ciągle mi było mało. Wyciszenie. Zjednoczenie. Z naturą. Ze światem zespolenie. Wycucie tej naturalnej wibracji. Świata. I jego atrakcji. Wycucie tego co daje życie. Niesie. Czerpię. Współżycie. I cisza pomiędzy tym wszystkim. Zliczaj. Rachunek wystawiasz, a ja mówię nie podliczaj. Niedziałanie to działanie całym sobą. Bo jesteś wszystkim. A nie tylko osobą. Jesteś sobą, a nie chwili ozdobą. Wszystko to Ty. Jedność wyciska łzy. Tao jest ciszą i hałasem jednocześnie. Tao mówi, że masz spokój i pracę nareszcie. Sporo elementów Zen. Wszystko to samo wiem. Bo to jest prawda. Oświecenie nie pogarda. Dopóki szukasz, pytasz. Gdy już wiesz, nie unikasz. Wszystkiego co mówi i głosi. Wszystkiego co prawdę do domu znosi. Jak kot, co złapał mysz. Wiesz i krzyczysz a kysz. A kot zdziwiony zastanawia się dlaczego nie ma żony. Skoro taki uczynny. Pomaga, jedzenie znosi. Zastanów się dobrze. Kto o co prosi. Tao z Zen połączone. To mieć dostarczoną żonę. Tao nie znosi zakosów. Nie jest dla byle jakich młokosów. Obdziela i władzę sprawuje. Uczy, nie próżnuje. I

prawdę na desce maluje. Odbija. I kalkuje. Rozpowszechnia. I przy prawdzie majstruje. Aby ją poznać. Przeświecić. Czuje. I się w niej odnajduje. Pokazuje, to ja. A to prawda ta. Która to potwierdza. Która jasno stwierdza. Poznać tao. To zmierzyć ją i zważyć całą. Poczuć tao to zaglądnąć w głąb siebie. Czułością doskonałą. I tak przed siebie. I tak obok Ciebie. Maszeruję i oddaję się potrzebie. Złączony z tym co podzielone. Sklejony z tym co utracone. Nie chwieję się. Nie dzielę. Nie poddaję i nie szaleję. Tao mnie pilnuje. W tao uczuje. Z tao się prawuje. O sens i ile kosztuje. Nieprzespanych nocy. Marzenia. Milczenia. Pomocy. Tao nie plecie warkoczy. Plecią je ludzie. W mozole i trudzie. Warkocz za warkoczem. Pomoc za pomocą. Chwila zjada chwilę. Biedni się kłopotczą. Tao to rozumie. Tao to tłumaczy. Jak nie zginąć w tym gąszczu. Jak nie rezygnować z pracy. Że to co zwykłe to życie. A nie górnotne cele. W zwyczajnych obowiązkach jest prawda. A nie w obrazach w kościele. Obrazy tylko podpowiadają. Jakiś znak, symbol dają. W tao symbolem jest świat. To co Cię dotyka od lat. To co widzisz i słyszysz. To co pożyczysz, albo uczysz. Wszystko to tao. Wszystko jest złe. Nie daj do drugiego przekonać się. Świat nie jest zły. Złe mogą być zamiary. Jeśli walczyć chcesz z tym co nie do pary. Z tym co nie połączone. Z tym co zagubione. Nie zwyciężysz. Nawet jeśli poślubisz siódmą żonę. Nie zwyciężysz. Nawet się nie nastawiaj. Być sobą. To podstawowa sprawa. Poznać co koi a co boli. Zrozumieć dlaczego stojące ciągle stoi. Dlaczego wszystko jest jakie jest. Dlaczego życie to test. Powinowactwa. Rodzicielstwa. I dziecinnego, weź to przestaw. Które porzucić trzeba. Zrozumieć. Jaka jest potrzeba. Nie mieszania i nie przedstawiania. Sobą się stawania. W ciszy powstawania. Z ciszą. I w ciszy się chowania. Być tao. To ciągle mało. Nie. Tak się nigdy nie stało. Wystarczy. To stać obok tarczy. Nie musisz się poświęcać, ani do poświęcenia zachęcać. Skromne życie. Skromne myśli. Powtarzasz. A to się ziści. Skromna rada. To nie zwada. I mniemanie. I zakładanie. Że się uda. Nie zakładaj. Uda się, bo litery składa. W jedną całość. To cała gałąź. Nie obrywaj. Tylko wiąż. Podtrzymuj. I podziękuj. Tylko komu. Nie wystarczy jęków. Musisz wiedzieć, sobą być. Żyć, a nie z życia kpić. Nie gnić. Nie sprawić. Niespodziankę aż do granic. Być sobą można tylko w spokoju. W ciszy. We własnym pokoju. Być sobą trzeba w każdej chwili. A nie kombinować, jak to zrobić, aby ludzie byli dla mnie mili. Nie kombinuj. Twórz, nie klinuj. Tego mnie tao nauczyło. Dlatego człowieka ze mnie zrobiło. Bo się nie starało. Ani starać się nie kazało. Tylko akceptowało. Nie próżnowało. Akceptacja to trudne jest zajęcie. Pomaga. Nie przeszkadza. Pokazuje, nie doradza. Jak i gdzie. Iść dalej i po co atrakcje te. Co dodaje a co się poddaje. Co ujmuje a co jak Cię traktuje. Żle rokuje. Dobrze prorokuje. Żle koczuje. Dobrze się dogaduje. I tak powtarza. Rada, wina lekarza. I tak się tworzy. I okno w zimie otworzy. Stołeczny klub. Szelmowski chód. Bo chody. Bo nie ma wody bez ochłody. Ta co parzy to odmieniec. Nie bądź jak zwyczajny potępieniec. Nie mieć. To znaczy być. Ziemię. Odpowiada, chwycić. I chwytam. I się nie przejmuję. Ważne jak się dzisiaj zachowuję. Teraz. I jak rokuję. Za chwilę. To dopiero poczuję. W tao uderzyło mnie milczenie. I w ciszę się zamienienie. Może to przez wpływ Zen. Czuję. Nic. Nic nie zdejmę weń. I tworzę. Ciszę. I mnożę. Bliższe. To co tu. Nie tam. To co jest potokiem słów. Nie kram. I uderzam. Słowem o słowo. I się sprężam. Wiem, że będzie na gotowo. I rokuje. Kto jaki urząd piastuje. To nie ma znaczenia. Jak spadające poroże jelenia. Było. Stało się, wyśniło. Którąś kolejną. Wonią. Się zmieniło. I jest. Ten test. Agrest. Smak mięs. I jest. Ten hultaj. Co mówi, nie tutaj. Powtarza. Zagrożenie stwarza. Się trudzi. I się ubrudzi. Tao nie brudzi. Nie pokazuje rogów. Nie spadają ani nie odrastają. Z nadmiaru nałogów. Człowiek hipopotam. Człowiek, psota. Była i się ulotniła. Kolejna ochota. Człowiek to wie. A co. I jak



stworzy się. Człowiek, zagadka. Myśli, mówisz, z płatka. I tworzysz. Kolejną przeszkodę. A tao wskazuje na ochłodę. I mnożysz. Co nie pomnożone. Bo musisz, musisz mieć tę żonę. A, E, którą to cielę. Było i się skończyło. C od cielę się oddzieliło. I zostało i się dobrze miało. Choć na dobre się podzielało. I utkwiło. I się zmieniło. W tworzywo, które oniemiało. Siebie badało. Sobie przeszkadzało. Które, któremu, co stworzyć miało. Było. I się pozbyło. Tworzy to co mnoży. Głowa człowieka. Ucieka. Ciało człowieka, nie czeka. Tao patrzy i się dziwi. Dlaczego Ci ludzie tacy krzywi. Dlaczego ten świat to zlepek wad. Może. A może, Daj Boże. Wadą my jesteśmy. To nasza dziedzina i nasza wina. Gdyby nie nasze twory świat nie byłby chory. Zarezerwowany. W purpurę ubrany. Byłby zwyczajny. Byłby fajny. Taki zwykły. Taki normalny. Czekający. Na mnie i na Ciebie. Wiecznie chcący. A nie oznaczający kolejną potrzebę. Świat na miarę naszego szczęścia. Wina to obraz przejęcia. Świat chce, może, potrafi. Stworzyć. Nie tylko drzwi od szafy. Ale coś pięknego. Czyli siebie samego. Ale coś przydatnego. Czyli kawał uśmiechu swojego. Bo tylko to się liczy. A nie kolor zniczy. Tylko to ma znaczenie. A nie kolejne podzielenie. Pomnożenie. Traktowanie. I stawanie. Nie stawaj się. Nie udawaj. Tao poznawaj. Tao się stawaj. Być, mnożyć, kpić. To nie dla Ciebie nić. To szyją, Ci którzy gniją. Tym prowadzą, Ci, którzy wadzą. Nie czernij się sadzą. Niech inni Ci oddadzą. Niech pokażą na co ich stać. Ciebie to nie interesuje, wombat jego mać. Tego wombata stać. To ma. Ciebie nie stać. Bo już nauczyłeś się z wszystkiego śmiać. Bo już umiesz cieszyć się radością. A nawet zbliżającą się złością. Bo po co strzelać. Skoro można ramiona otwierać. Tao to nie przyczyna. Tao się w sercu człowieka zaczyna. I tam zostaje. Nie ważne, co komu się zdaje. Gdy raz się tao stałeś. Tao już na zawsze zostałeś. Taoista. To flecista. Wygrywa melodię życia. Zwyczajną. Prostą. Dla przeżycia. Dla zachwytu i chwytu. Czuje. Że na siebie nie będzie zbytu. Czyje zwykłą chęć. Dzielenia się zasobem zdjęć. Które zrobił umysłem. Zrobiłeś. Zrobiłem i przysnę. Albo później. Albo lepiej. Ciągłe zasłanianie się fletem. A nie grasz. Zagraj. A nie tworzysz. Mnożysz. Graj i radość sobie dawaj. Dasz sobie, staniesz się pewny w swej osobie. Dasz światu, a staniesz się ukojeniem dla wariatów. Człowiek. Po co. Człowiek, ruch powiek. Człowiek, zagadka. I znowu, jak z płatka. Tworzenie. Tworzenie. Nie znaczy ukojenie. Tworzysz to co masz. Dajesz swoją twarz. Kawalek siebie. Wnętrze w każdej potrzebie. Zasłanianie się fletem. Odstonienie. Oddałeś. Czego w ustach nie zmieściłeś. Muzykę. Grasz. I radość z tego masz. Tworzenie i chcenie. A nie na gorsze się zamienienie. Odwrócenie od tao. To nie to co w zadowoleniu grają. Odwrócenie się od siebie. To przemowa na Twoim pogrzebie. Po co. Dlaczego. I co tworzy szadź. Co daje stronę. A co każe brać. Bierz, nie pytaj. Jeśli Twoje. Jeśli nie zaszkodzi. Samo siebie nie posłodzi. Być zrównanym. To nie być objechanym. A Ty jaki jesteś. I dlaczego dyrygujesz gestem. Nie bądź podestem. Przemawiaj. Z impetem. Graj. Wygraj. Pomaluj świat. Własnoręcznie wykonanym fletem. Graj i stukaj obcasem do taktu. Rymu. Do klinu. Bez gminu. Przyjmuj. I wiesz, że jesteś w odpowiednim otoczeniu. Śmiejesz się, gdy słyszysz o znaczeniu. Znaczenie życia człowieka. Jest jak znaczenie tych słów. Jeno ucieka. Znaczenie kochania, jest jak o batonika starania. Nie myśl. Poczuj. Nie kombinuj. Dotrzymaj kroku. Spraw niespodziankę. Zapisz się na hulankę. Zatańcz. Zaśpiewaj. Dobrze się miewaj. Bo po co się smucić. Z samym sobą się kłócić. Po co na tao narzekać. Gdy tao nie może zwlekać. Natchnienie. Jedno słowo. To życzenie. Spełnienie. Drugie słowo. To przyrzeczenie. I się kierujesz. I się stopujesz. Do przodu, do tyłu. Wciąż się kierujesz. Sam nie wiesz gdzie. Sam nie wiesz po co. Gubisz się. A tao śmieje się. Z Ciebie. Nawet nocą. Tao nie oczekuje, że będziesz mu służył. Wystarczy, że oczu nie będziesz mrużył. Wystarczy że będziesz robił swoje. Gdy już poznasz siebie i swoje

podboje. Gdy już zrozumiesz, że życie swe umiesz. Tao, sprawia, że siebie umiesz. Życie kocha. Ty, to nie życia macocha. Nie organizuj wykładów z litości i szanowania układów. To bez znaczenia. Kolejne powielenia. To bez uczucia. Kolejny powód zepsucia. Tao nie nadążało. Bo tao nie zależało. Cisza. To jest to, co tao chciało. I tą cisze kontempluj. I baw się jej wiarą. Wiara ciszy, do spokoju jest parą. I tworzenie, tego nie jest podległe. Po co. Tao nie jest wredne. Tao rozumie i prosi byś Ty zrozumiał. Tego się nauczyłem. Ty też będziesz to umiał. Jak poczułeś to o czym tutaj mówię. Gdy zrozumiałeś to, dla czego zostawiam stowę. Nie moja. To dla Ciebie. Nie potrzebuję. Nie jestem na swoim pogrzebie. I Ty też nie musisz na nim być. W nim uczestniczyć. Po co. Na litość i łzy innych liczyć. Po co, lepiej się z samym sobą rozliczyć. Tao poznać. Stać się. Profity zliczyć. A profity to brak straty. Nie ma większego. A oczekiwałeś czegoś czego nie dostałeś. Brak straty. Wynagradza. I się na zło zasadza. Na kusiciela. I go oprowadza. Po włościach. I mówi, że sadza to sadza. Prosto. Bez kombinowania. Tao, nie ma własnego zdania. Zdaniem tao jest cisza. I zadaniem. Sam siebie ucisza. M. Dlaczego idziesz w dymy. Pojedź do Chin. Jak ja i pozbądź się widm. Widmo zwycięstwa i widmo przegranej. Widmo skrajnej i popularnej. I inne podobne, kolejne mnożenia. Widmo to inna nazwa cienia. Mnie to nie interesuje. Mnie to nie rusza. Jeden świat. Dla niektórych katusza. Mnie w Chinach wystarczył czerstwy chleb. Wystarczy i Tobie. Po co. Ale żeś zbledł. Ale żeś się napuszył. Człowiek, który człowiekiem ruszył. To nie ja. To tao, za dnia. To nie on. To tao. I dzwon. I słysząc to co nie przeszkadza. I na koniec rodzi się moja rada. Bądź. A nie w trąby dąć. Nie by było głośno. Ale by w sercu radośno. Radośność. To nie rozprężenie. Radośność. To nie sprzeniewierzenie. Nie ściśnięcie i zostawienie. Radośność to w samego siebie wierzenie. Do cna. Do grobu. I później na ile się da. Wierzyć, ufać i zajmować. Do zasad Boskich się stosować.

### **Mowa, na zmianę gotowa**

Harmonia to poszanowanie  
Harmonia to sobą się stawanie

Harmonijnie zagraj na flecie  
Nie przeczytasz o tym w gazecie

Nie dowiesz się, że nie szkodzi  
Nie dowiesz się, gdy się urodzi

Ten spokój co Cię wyswobodzi  
On jest. I Tobie nie szkodzi.

### **Historia piątego piwa**

Barman podaje im piąte piwo. Ktoś patrzy na Zeta. Ten milczy. Ktoś zaczyna żywo. Później udałem się do Japonii. Ale nie do amerykańskiej kolonii. Tylko do tej starej. Zbutwiałej. Japonii z tradycji pozostałej. Wkroczyłem na drogę Bogów. Shinto stało się moją matką. Słów i myśli. Każdej kolejnej korzyści. Jako kapłan Kannushi poznawałem świat. Z nowej perspektywy.

Pozbawiony wad. Uczyłem się rozmawiać z Bogami. Pośredniczyć. Słowami i myślami. Zakotwiczyć. Zaznajomić z przyszłymi wydarzeniami. Tworzyć. Z myśli origami. Psuć. To co zamienia się miejscami. Bo każdy ma swoją pozycję. I obowiązki. Względem bogów i ludzi. Musisz poznać te związki. Musisz wgryźć się w esencje. Kolejne reminiscencje. Musisz postanowić i na swoim postawić. O ile wiesz co i jak trawić. A to dzieje się naturalnie. Bogowie występują teatralnie. Ale nie mówią niczego czego byś nie wiedział. W głębi serca. Sam byś odpowiedział. Ale Kannushi pomaga. Wiesz, jaka jest jego zasada. Nie przeinaczać. Proste dania podawać. Ale nie pogryzione. Gryzienie to Twoja sprawa. Ważne, że ciepłe i pachnące przed nos podkłada. I rozumiesz. I wiesz. Taka jest jego zasada. Służba. Pomaganie. Duszy splatanie. Z duszą. Bogiem. A nie kolejnym ziemskim nałogiem. I upadaniem. W shinto mówią na to zawracanie. A nie można. I nie potrzeba. Lepiej skosztować boskiego chleba. Lepiej wykonywać polecenia. Swoje naturalne przyzwyczajenia. Od których na siłę odchodzimy. I których się często wstydzimy. Bo w nowym świecie są niemodne. Jak stare, wytarte spodnie. Bo nowy świat chce po swojemu. Bez Bogów. I boskich kremów. Dzięki którym dusza młodnieje. Dzięki którym życie się dzieje. A nie tylko obserwujesz. Jak się kto inny tym ciągle kremuje. A Ty wybierasz kolorowe strony internetowe. A Ty wybierasz rozbieganą głowę. Shinto to stare zasady współpracy. Człowieka z Bogiem. Dostajesz na tacy. A jak i co zrobić. Jak się wyswobodzić, sam dobrze wiesz. Jak to co jesz. Wystarczy wsłuchać się w siebie a wnet zrozumiesz. Dlaczego tak dobrze bogów tych umiesz. Bo są tacy sami. Na całym świecie. Shinto mówi zaś w jednym. Konkretnym dialekcie. Słowa to jednak półśrodki. Nie do wykończenia. Marzenia, duszy wyobrażenia. To zachęca do istnienia. Do działania i się spoufalania. Z Bogami. Z liczbami. Z żyjącymi stworzeniami. Bo nie każdy żyje. Nie każdy na duszy tyje. Są tacy, którzy lunatykują. I się do zasad nie stosują. Świat. To potężny kusiciel. Normalność. To wody mąciiciel. Co to znaczy być normalnym. Według kogo. I dlaczego zdalnym. Pilotowanym. I przez kogo. Przez świat. Czarne serce to jego znak. Bez serca. Z doszywanym. Serca morderca. Świat co wszystko przekręca. Przeinacza i mówi, każdy zawraca. Zawróć i Ty. A nie będziesz ronit łzy. Zawróć z nami. A będziesz zapisanymi stronicami. W dobrym guście. I życiu na poziomie. Człowiek sukcesu, co mości sobie miejsce na tronie. Z dnia na dzień. Zmieniasz się w cień. Z chwili na chwilę. Niby ma Ci być milej. A wiesz i czujesz, że czegoś brakuje. A widzisz i słyszysz, że ten mechanizm się psuje. Nie funkcjonuje. Tak jak funkcjonować powinien. Ginie. Widocznie jest czegoś winien. Winien zepsucia. Ludzi psucia. Winien przestraczu. Prostego strachu. Winien upodlenia. Zwykłego skundlenia. Winien niemocy. Odwrotności wszechmocy. A Ty jeszcze się zastanawiasz. Czym jest shinto i dlaczego taką radość mi sprawia. A to rozmowa. Dialog z Bogami. A to życzenie, by żyli między nami. I żyją. I oddychają. Duchem się z duchem zamieniają. Tworzą. I działają. Rację wieczną mają. Aby być dobrym. Szanować drugiego. Aby się poświęcać wiecznie dla niego. Shinto tworzy. Buduje muskuły. Ćwiczy codziennie. Jak w polu muły. Dzień za dniem staje się piękniejsza. Droga do Boga. Cudowniejsza. Bo moja. Bo nasza. Wielu ze mną kroczy. Kroczyło. I przekroczyło. Ich marzenie się ziściło. Byli. Stali się. Nie wymagali. Bo nie wymagać to sobie pomagać. Kannushi wie. I powtórzy. Gdy niebo się chmurzy. Każdemu. Pojedynczemu. W słowo zastłuchanemu. W ducha zapatrzonemu. Wyznawcy pokłon składającymemu. W ciszy. W spokoju który milczy. Wilczy. Brak. Wilczy. Smak. Nie dotyczy tego przedstawienia. Boskiego, ciągłego, logicznego natchnienia. Bo po co psuć. Bo po co się zaśłaniać. Jak można czuć. I na innych nie zganiać. Bo można się cieszyć. I siebie powtarzać. Jak już wiesz kim jesteś. Na nowo się stwarzać. Można.

Potrzeba. Można. Kawalek chleba. Żuć. I każdym centymetrem ducha go czuć. Duch na centymetry. Odwrotnym jest чуć. Duch na mikrometry. Możesz dalej żuć. I się stawać. I ze złem się rozstawać. Bo shinto nie akceptuje zła. Tak jak Zen. I rację ma. Z zen sporo w shinto zostało. W dzisiejszych czasach się wzięło i zmieszało. We wczorajszych razem bariery przekraczało. Drogę wskazywało. Bogów szanowało. Bo Zen uBogacone przez shinto zyskuje nową stronę. Trzecią. Kolejną odsłonę. A shinto dostaje element medytacyjny. Wyciszenie i z ciszą się bawienie. Wielka piaskownica. Życia suwnica. Wielka niewiadoma. Życia nie pokona. Trzeba życie znać. I z nim w bierki grać. Cieszyć się za dnia. A w nocy pozostaje rada. Da. Wszystko co ma. On. Bogów pełny tron. Każdy to inna twarz. Boga jedynego. Niby dużo. A wszystko sprowadza się do tego samego. Shinto to kroczenie. A nie upodlenie. Ciągłe doskonalenie. A nie zabiedzenie. Choć niewiele trzeba. To masz kawałek chleba. Choć niewiele da. Ten co za dużo ma. I krocysz. W kierunku warkoczy. Jeden to shinto, drugi jak pierwszy być powinno. A czy jest. A może to zwierz. A może sprowadza wciąż złe. I należy lękać go się. Nie wyrokuję. Dopóki nie spróbuję. Drugi warkocz. Nie pomoże, główkuję. Nie pomoże, że do zasad się stosuję. Jeśli jesteś ślepy. Jeden warkocz z drugim zrównuję. Trzeba umieć odróżniać. Prawdę od podstępu. Chociaż wyglądają podobnie. Chociaż wyglądają swobodnie. Niby piękno prezentują. Niby w pięknie się czują. Sobą. Uczują. I nie próżnują. To jeden jest zły. Podstępny jak pchły. Trzeba go odciąć. I spalić. Jąć. Drugi jest dla nas. Drugi jak szafas. Ochroni. Obroni. Rozpościera się. Więc uczyłem się i nauczyłem. Rozpoznawać to o czym mówiłem. To podstawa rozumienia która buduje strawa. To podstawa życia dla duszy. Nie tylko zwiędnięte uszy. Co nie wiedzą już czego słuchać. Ja już wiem, jak je udobruchać. Boską muzyką. Boską melodią. Co jest w tej drodze wieczną pochodnią. I krocysz. I idziesz. Nie pozostajesz we wstydzie. Bo po co. Powtarzasz tylko, Norwidzie, Norwidzie. I kolejne szlaki. I kolejne stopnie. Mijasz. Przechodzisz. Czasami pochopnie. Na autopilocie. Czasami ukłonisz się głupocie. Ale taki jest ludzkie życie. Ważne, by otworzyć oczy. A nie dziwić się w zachwycie. Że zachwyt istnieje. Że zachwyt wie co się dzieje. Że zachwyt taki piękny. Że sam wie którądy. I zachwyt mi pokazuje. Boski. Co nie rujnuje. I ponad dwa lata kroczyłem. Choć z drogi czasem schodziłem. Rzadko. Ale z tym się pogodziłem. Nie karałem się i od uśmiechów nie stroniłem. Byłem kim byłem. Byłem sobą i w siebie się zamieniłem. Dzięki Bogom. Którzy chwaleni być mogą. Powinni. Bo zawsze pomogą. Tym który do nich się odnosi. O pomoc ich prosi. Tych których wybierają. Wielu. I kontakt z nimi mają. Bogowie. Wielcy. Magowie. Strzelcy. Waćpanie. Wspólniku. Jest nas w końcu bez liku. Ludzi, którzy za nic mają świat. Tą nowoczesność. Pęd z przed i dla lat. Uchwycenia i zaspokojenia. Sukcesu i poziomu wygładzenia. Nie, dziękuję, nie przepadam. Taka dobra moja rada. Shinto to stara szkoła leczenia. Bogiem. I to się nie zmienia. Nie ma skuteczniejszego środka. Jak lekarstwa duszy. To nie płotka. To nie byle co, byle jak. Bóg sam dał mi znak. I dusza się cieszy. Podskakuje. Z Bogiem złączona się raduje. I tworzy. I bieży. Nie jak stado żołnierzy. Nie jak cech puklerzy. Patrz na tego. Z kim się mierzy. Na zło naciera. Zło atakuje. Zło nim poniewiera. Bo nie ma po co walczyć. Inaczej niż miłością. Inaczej niż chwając Boga. Mówisz, z litością. A mnie to nie przekonuje. Wolę, gdy dobrze rokuje. Mój dialog, moja rozmowa. I boska na nią pora. Bo właściwa pora nie wie co znaczy zmora. Bo właściwy cech, nie wie co znaczy pech. I etiuda nie kłóci się o nutę, zguba. I tworzenie nie jest to, tylko chcenie. To dawanie siebie. I zostawianie. To dawanie z siebie, a nie oddawanie. I o sobie zapominanie. Tak to nie działa. Na pierwszym planie. Ty. Bo bez Ciebie Bóg nie miałby z kim rozmawiać. Komu wymagania stawiać. Bo nie

ma łatwo. Nie można udawać. Nie można pseudo-niespodzianek stawiać. Trzeba się odnawiać. Wiecznie nowy ja. Wiecznie aktywna ła. Wiecznie uśmiechnięta. I przez złego nie tknięta. Być i powtarzać. W dobru się obnażać. I tworzyć. I utworzyć. Sieć połączeń. I je mnożyć. I się przejmować. I się do dobrego stosować. Nie tylko kosztować. Ale koszty pod stół chować. Było. To będzie. Będzie to w jednym rzędzie. Z przepowiednią, która leci w pędzie. Chce zaskoczyć. Chce wciąż rosnąć. Nie chce się moczyć. I nie dorosnąć. Bądź kim jesteś. W ciele. Niebieskie. Aspekty duszy. Całość ciała skruszy. I zostanie sama. Jedna. Przez Boga przytulania. I zostaje to co dobrym się staje. Inne odpada. Taka starożytna zasada. Która jest. Nie jak przybłęda pies. Co przychodzi na chwilę, a później zabiera swoje gile. I idzie. Biegnie. Byle gdzie. Byle jak. I to jest złego wieczny znak. Niby groźny. Bo czasem ugryzie. Ale na śmierć nigdy nie zagryzie. łatwo go odgonić. W miarę. Choć upierdliwy. Trzeba go przegonić. Bo na człowieka jest chciwy. Niezależnie od religii, zło jest takie samo. Ten sam pies z nogi raną. Kulejący. Wiecznie warczący. Niezadowolony i wygłodzony. Zło zawsze szczeka. Inaczej nie umie. Zło nienawidzi człowieka. Widzi tylko zestaw trumien. Widzi panowanie. Nad kolejnymi zwłokami. Mnie to nie dotyczy. Ja się nie wymieniam takimi widzeniami. Nie angażuję, i w nie nie zatapiam. Stosuję. A nie z drogi swej zawracam. Shinto. Droga do Boga. Droga Bogów. Wszystko to gra słów. Gra myśli. Co człowiek, czy Bóg wymyśli. Co powtórzy i dlaczego się chmurzy. Byłem widziałem i rację w tym miałem. Że Kannushi pozostawałem. Jednak nic nie trwa wiecznie. Trzeba iść dalej. Stawać się. Poznawać. Trwać w Bogu doskonale. Jestem z tych wyjątków, co nie spoczną na laurach. Ciągłe chcą więcej. Nie przegoni nas strach. Nie przegoni nawałnica. Ani kolejna suwnica. Nie narobi szkody zły. Nawet jeśli tym złym jesteś Ty. Spokojnie robimy swoje. Tworzymy. Boskie podboje. Stosujemy. I kafelki ze zrozumienia kładziemy. Jak działa ten świat. Po co i czego jest wart. Można się domyślić, wydedukować. A można go poczuć duszą, zanim zdąży się przed nami schować. Wybieram drugą odwagę. Opcję. Ciągłą powagę. Przez śmiech. Przeciwwagę. Nie gniew. Wieczną rozważę. Wybrałem i za guzik się złapałem. I w kolejną wyprawę się wybrałem. Daleką. Bo aż do Iranu. A po co. To dalsza część mojego planu.

### **Mowa, na zmianę gotowa**

Droga Bogów  
To droga dla Ciebie

Droga swobód  
Bo zawsze jesteś w niebie

Ziemia jest piękna  
Piękne wspomnienie

Samego siebie  
I wiesz czym jest istnienie

## Historia szóstego piwa

Barman podaje im szóste piwo. Próbują. Kosztują. I nic już nie czują. Tylko słuchają. Zet sprawia, że naganiają. Ktoś przerywa. Myśl w połowie urywa. I kontynuuje. I na nowo pracuje. Nad wytłumaczeniem samego siebie. Swej historii w której nie ma słowa o pogrzebie. Jest życie. I chwalenie ponaglenia. By żyć i mieć zadowolenie ze spełnienia. Radość z istnienia. Coraz to nowe zadowolenia. Ktoś przedstawia. I sprawę przed oczami stawia. Mówi. Byłem w Iranie. I w Pakistanie. Chwile w Iraku, szukałem znaku. Ale to w Iranie stałem się derwiszem. Przyjąłem nową religię. Allah przed szereg wyszedł. I przytulił mnie w ujęciu sufich. Allah nie należy do głupich. Pokazał mi świat swoimi oczami. Nie byłem jedyny, który poznał jego plany. W sufizmie miejsce jest dla każdego. Kto chce pracować dla jedynego. W sufizmie przytulą jak mnie przytulili. Każdego, nie tracąc ani chwili. Kolejna tradycja. Nowe doświadczenie. Kolejne spełnienie i na górę wchodzenie. Góra wysoka, ale ścieżka prosta. Pochylnia szeroka, znajdziesz mnie na mostach. Bo mosty łączą tak jak i mnie połączyły. Bo mosty się nie kończą. Tak jak ze mną nie skończyły. Tylko trwają i się przydają. Człowieka budują, a nie naśladują. Zbudowany poznałem Allaha plany. Zbudowany poczułem się wyprostowany. A nie jak sznur w kanałach pozginany. Szukający, rany jątrzący. Nie ma tego. To przepadło. Znikło. I się na nowo zgadło. Derwisz. To moje przeznaczenie. Asceta, który zna każde Boga życzenie. I jego spełnienie. I kolejne powtórzenie. Jesteś wolny. Zrozum to. Ideę i znaczenie. Jesteś dla Boga. W wolności nie trwoga. Jesteś dla siebie. I Twoje miejsce jest w niebie. Bo niebo jest tu, na ziemi. W jedności. Gdzie niepodzieleni. Bo niebo upomina się o Twoją duszę. Jesteś jednym z miliona poruszeń. Twórz. Powtórz. Natchnij. Potok słów. I pędź. Przed siebie. Złego nie oszczędź. I pędź. Dla niego. Żyj tylko z dobrego. Nie przeinaczaj. Na dobre oznaczaj. Nie stawaj się i z mądrością nie rozstawaj. Z poświęceniem. Bądź. Poświęceniem rządź. I tchnij Boskiego ducha. I przemów, od ucha do ucha. Nie przeinaczaj. Słów i znaczeń. Nie trać nadziei. Nie miej oporów. Stań oko w oko z zastępem stworów. Pokonasz ich miłością. Pokonasz poświęceniem. Dla Boga, z Boga, każdym kolejnym tchnieniem. Z Bogiem w sercu nie masz czego się obawiać. Z Bogiem w sercu możesz pewnie kolejne kroki stawiać. I postanawiać. I się nie poddawać. Tylko być. I dla lepszego żyć. Tylko tworzyć. A nie ręce beczynn timerozłożyć. Bądź. Rządź. Twórz. I mnoż. Bo o to w życiu chodzi. Żeby nie było zamieszania w Boskim narodzie. Żeby siać spokój i w spokoju zbierać. Dać znać. Ciągłe stać. Lub iść. W biegu zrywać kiść. O to derwiszowi właśnie chodzi. Bogu, co się rozchodzi. W duszy derwisza. Rozchodził się właśnie dzisiaj. On co ma własne zdanie. Bo każde pytanie znajduje odpowiedź w tym boskim planie. Jak w mapie. Wskazującej kierunek. Opcję. Nagrodę i podarunek. Wszystko wyrysowane. Wszystko na nowo uznane. A nie w tajemnicy poznane. Nie ciągle odtwarzane. Być i tworzyć. To nie śnić. Być i mnożyć. To nie znaczy nie robić nic. Ważne, że chce Ci się pić. Pragniesz Boga. I nie chcesz wciąż gnić. Derwisz Ci podpowie. Derwisz pogłaszcze Cię po głowie. Bo zna i potrafi. Bo umie sprzeciwić się mafii. Mafii smutku i rozżalenia. Mafii niechcenia i sprzeniewierzenia. Mówisz nie. To wystarczy. Już tylko od tego, nie wrócisz na tarczy. Bo sprzeciw dla zła to właściwa droga. Bo sprzeciw do przeciętności to nie tonąć w litości. I tworzysz. Żyjesz, mnożysz. I kroczysz. Od miasta do miasta. Jak ja, derwisz. Nie oczekując ciasta. Czasem poczęstują byle czym. Czasem nie. Żołądek pragnie. Cię kusi mnie. Ale nie. Mam to gdzieś. Choć nawet derwisz musi coś jeść. Ale nie codziennie. Żeby się nie poplątało w głowie. Zapytaj Boga, on prawdę Ci powie. Zapytaj o drogę. On Ci ją pokaże. Boskie nieosłonięte twarze. Boskie historie

i wskazanie na Morię. I krocysz przez ciemne kopalnie. Śmierć. Ona tu gra zdalnie. Przez złego kierowana. Szuka kolejnego kompana. Mnie nie znajdzie. Ja chadzam innymi ścieżkami. Mijam ją. A jak trzeba uderzę kijami. Nie pozwolę, by wskoczyła mi na plecy. Nie pozwolę, abym był częścią jej hecy. Może. Coś pomoże, ale nie mnie. Nie o tak wczesnej porze. Może, coś się zmieni. Daj Boże. Może otworze. I będzie. Gorąco jak w komorze. Trudno. Ważne, że ktoś pomaga. Żyć. Dla kogoś warto tyć. Dusza się cieszy. Człowiek, dla niej grzeszy. Lub grzeszyć przestaje. I już tylko z dobrym się zadaje. Można. I trzeba. A nie zwalczać. Tak się nie da. A nie dostarczać. Byle czego. Ważne, że nie masz do powiedzenia, niczego. I rola derwisha. Kroczy. Bóg kroki zlicza. Bo do cnotliwych się zalicza. Podobno. Dobrze gdy jest pogodno. A gdy mniej, wiatr wciąż wiej. A gdy wcale, pojawiają się kanibale. Co wykorzystują drugiego człowieka. A człowiek tylko na dobre czeka. Nie dostaje. Ma zamiast tego kanibale. Li. Taniec. Ce. Odmieńce. I ciągle zajęte moje ręce. I ciągle zajęta moja głowa. Bo się stara. A to tylko połowa. A to tylko zajęcie na jedną chwilę. A to aż człowiek. I może być milej. Od człowieka do człowieka. A zły tylko na to czeka. Czy się doczeka. Czy będzie plandeka. Zastonięty i zwinięty. Ciągle nowym pochłonięty. Po co. Warto. Dlaczego. Przegrywasz najłabszą kartą. Kto ustala zasady. Czy Bóg nie jest tym, który czeka na zwady. Nie. Nie może. Myślę, że nie tylko w trudnym momencie pomoże. Nie tylko kiedy się wali. Bóg, nie jest tym co w piecu pali. Po prostu jest. Jak wybór spośród mięs. Bierzesz na co masz ochotę. I zobaczysz co będzie potem. I zrozumiesz, albo śnieg. I się stanie krwawy bieg. I zrozumiesz po co, na co. Podłogę czyści się mokrą szmatą. I się tworzy. I rozłoży. Ten który problemy mnoży. Derwisz nie zna problemu pół. Bo po co zasypywać głęboki dół. Jest to jest. Głębszy nie będzie. Derwiszowi nie przeszkadza ruch w urzędzie. Derwisz nie potrafi myśleć za dwóch. Nie myśli bo to jak gęsi puch. Zdmuchujesz. Ulatujesz. Z puchem się prawujesz. O rację. O zdecydowanie. I kolejne egzystencjonalne pytanie. Nie ma czegoś takiego. Jest życie. Twoje, kolego. Jest to co powinno. Zostać. Być. A nie wywijać się postawą zwinną. Uciekającą. O dodatek mieszkaniowy się nie pytającą. Gdzieniegdzie. Się pojawia. Gdzieniegdzie zobaczysz pawia. Jeden się płoszy. Drugi się nastroszy. Nie ważne. Istotne, że używasz noszy. Że braci zranionych ciągniesz i pomagasz. Myśli uszkodzone w całość jedną składasz. To samo ze słowami. Brat pozostaje między bratami. Braćmi, nie poprawiaj. Po co. Naprawdę stawiaj. A słowo jest tylko drogą do celu. Słowo poznało wielu. A na znaczeniu się większość wywraca, tak jak nie każdy rozumie, co znaczy ciężka praca. I po co. Jak człowieka zmienia. Skrzydeł dodaje. Powstaje chemia. Pomiędzy człowiekiem a światem. Gdy pracuje. Gdy nie jest wariatem. Powstaje pewnego rodzaju zespolenie. I jego konsekwencja. Nasilenie. I tworzysz. Miłość mnożysz. I pragniesz. Choć nie zawsze odgadniesz. Co się i dlaczego zmienia. Co i po co wychodzi z cienia. Derwisz wie. Byłem, widziałem. Oczami derwisha ten świat oglądałem. I się nie dziwiłem. Rozumiałem. I się z tym wzrokiem nie rozstawałem. I prawdziwy zostałem. Zostałem sobą. Zwyczajnie. A nie złego ozdobą. I się nie popisuję. Bo już wiem, że życie swoje kosztuje. Że trzeba na życie zarobić. A nie tylko się w życie ozdobić. Że trzeba zarobić miłością. A nie obgryzioną kością. Nie o pieniądze w życiu chodzi. Pieniądz tylko wymówki modzi. A to coś jest większego. Kochać i się nie uchylać od tego. A to coś jest piękniejszego. Mieć. Siebie i dla Ciebie. Czas i uczucie. Czułość połączy was. Moim mili. Którzy żeście mnie nie skrzywdzili. To pokazanie, że się potrafi. To jest dowód, że się nie pracuje dla mafii. I dla cienia, który się naśmiewa z istnienia. Pełną parą podniecenia. W drażeniu kolejnej prawdy. W dążeniu jest mądry każdy. Ale czy utrzyma. Ciężar rzeczywistości. Ale się zaczyna. Od miłości a nie od złości. I po co i dlaczego. Jedno inne

jest od drugiego. I w jakim celu derwisz nie ma calu, mój przyjacielu. Bo celem jesteśmy wszyscy. Jak ja przyjacielem. Bez rozróżniania i najślabszych wykluczania. Bez poddawania i na siłę zmieniania. Jesteś sobą. Więc bądź. I niech prawda będzie Ci ozdobą. Derwisz nie próbuje. Tylko odpowiedź na Boga pytanie znajduje. Ciągłe rozmawia. Ciągłe się stawia. Nie zawsze miło. Czasami Boga poprawia. Jak to u przyjaciół. Zdarzają się sprzeczki. Bo Bóg to przyjaciel. Chociaż nie nosi Ci teczki. Chociaż za Ciebie nie odpowiada. To jest i patrzy jak dłonie do modlitwy składa. Jeden i drugi. Jak bije pokłony. Jak nawołuje. Albo jak słycać dzwony. Nawoływanie do modlitwy. Modlitewne manuskrypty. Wszystko się ze wszystkim łączy. Jedna tradycja. Tak wiele łączy. Tak wiele się spina i w jednej prawdzie odżywa. Tak wiele tworzy i się nic samo nie zmywa. Połączenia. Ujednolicenia. Czy potrzebne. Bez nich nie ma siedzenia. Bieżyć. Trzeba i się nie obejdiesz. Bez chleba. Był, jest i będzie wszędzie. Bez nieba. Po co na bez polować. Derwisz wie, że nie ma po co się chować. Nie schowasz się przed życiem. Nie uciekniesz. Nie ma tego dobrego. Życie jest piękne. A kto przy zdrowych zmysłach od piękna ucieka. Kto się z nim przeciąga. Kto woła z daleka. Piękno jak rzeka. Tworzy. Nie narzeka. Piękno jak strawa. Codzienna potrawa. Można nie trzeba. Ale nie marnuje się chleba. Można przymusić. Ale dlaczego człowiek musi się od zmuszenia dusić. Naturalna kolej rzeczy. Rzetelna. Nie przeczy. Naturalna dolina nie przeklina. Bo zdradza Cie zawsze Twoja mina. I oczy. Nigdy nie wiadomo co z nich wyskoczy. I serce. Widać je. Choć czasami serce chce więcej. Można mu na wiele pozwolić. Można dobre miny ciągle stroić. Ale czasem nie wypada. Ale czasem złe z gorszym się zakłada. Odchodzimy. Nie spoufalimy. Nie należymy. Do tych samych zgromadzeń kpiny. Derwisz nie patrzy na dziewczyny. Derwisz tworzy życie bez przyczyny. Bo Bóg patrzy. Bo derwisz wie, że po dwa jest trzy. Naturalna kolej rzeczy. Mądry nie zaprzeczy. Naturalny kolor świata. Błyszczący. Cieszy się. W każdym masz brata. Naturalne podsumowanie. Kołysz się. Kolejne zagranie. Rytm i takt. Znaczenie i powtórzenie. Na lepsze się zmienienie. Na ciekawsze odmienienie. Być sobą. Derwisz wie. Być kimś kto sam podpala się. Po co. Wybieraj. Świat mówi, na mnie spozieraj. A jest coś większego. Coś poza światem. Powstałego. Coś duchowego. Potężnego. Derwisz wie i czerpie siłę z tego. Dołącz się, przyłącz. Zrozum. Nie pomoże Ci rum. Nie pomoże Ci powątpiewanie. Wiedz, że gubi człowieka zgadywanie. Znasz pytanie. I odpowiadanie. Przyjaciel. Odpowiada. Chyba że masz żądanie. Chyba, że znasz przymuszenie. Dociskanie i zmuszenie. Ale tak nic nie osiągniesz. W sufizmie nie odnajdzie się żołnierz. Nie bądź żołnierzem. Zastąp go pacierzem. Do Allaha. Bo nie jesteś zwierze. Czcij i szanuj każdą wiarę. Bo każda wiara to kolejnych odpowiedzi para. I odpowiedziałem. Połączeniem. I nie okazałem się znowu leniem. Swoje zrozumiałem. Derwiszem się na ponad dwa lata stałem. I taki już zostałem. Nie oniemiałem. Cieszyłem się dniem. Szanowałem noc. Widziałem za horyzont hen. A nocy na twarz zarzucałem koc. Żeby nic nie widziała. Żeby się na gorsze nie zmieniała. Cichosza. Szepczemy. Oby nas tylko nie poznała.

### **Mowa, na zmianę gotowa**

Przyjaciel zawsze pozostanie

Przyjacielem

Nie ważne co się stanie

Od święta i w niedzielę



Nie ważne ile ma do przekazania  
Liczy się tylko powód czekania

Połączenie co się odnawia  
Derwisz niespodziankę Bogu sprawia

### Historia siódmego piwa

Barman podaje im siódme piwo. I piją. I się z myślami biją. Przez chwilę. Ciszy. Przez chwilę. Przyszedł. Sam do siebie Ktoś. Przemyślał coś. I minął się z sobą o włos. I mówi dalej. Opowiada. Usta w wyrazy układa. I się z życia spowiada. Tego co się samo o rację zakłada. Z Iranu wybrałem się w podróż życia. Na wyspę Bali. Tam gdzie się dzieci mężczyznami stali. Bo zrozumieli. Bo Boga umieli. I się od nich uczyłem. I głowę sobie wodą obmyłem. Agama Tirtha. Religia świętej wody. To do ugruntowania wiary kolejne powody. To kolejna piękna baśń. Zaczynanie i ma co robić jaźń. Zostałem opiekunem świątyni. W środkowej części wyspy. I usługiwałem. W obrzędach pomagałem. Żyłem rytmem świąt. Żyłem rytmem nabożeństw. I nie wiedziałem skąd. Ale byłem tym który tworzy. Bo na Bali każdy jest twórcą. Tylko miłości. Nie złości. Bo na Bali każdy jest przywódcą. Bo koło Boga stali. I się mu przyglądali. I wiarę w Jego cieniu pogłębiali. By wyjść z cienia i zacząć drogę istnienia. Boskiego natchnienia. Nie pobłądzenia. I tworzyli. I tworzyłem. I byli. I byłem. Sobą. W siebie zainwestowałem. Czas. Bo tylko czas, ma czas. My go nie mamy. Więc lekką ręką go poświęcamy. Bo my się stawiamy. I w dobro na nowo zmieniamy. Na Bali się nauczyłem. I w czyste dobro zmieniłem. Było mniej ascetycznie. Trochę bardziej logicznie. Ale dalej w Bogu. Nie poszukiwanie a znajdowanie. Nie wieczne chcenie, ale wieczne spełnienie. W bliskości. W terażniejszości. W życiu. W pięknym przeżyciu. Bali uczy człowieka oddychać. Hinduizm balijski jest inny. Nie trzeba po nim kichać. Nie trzeba się poddawać i niespodzianek sprawiać. Jesteś kim jesteś. Nie musisz się poddawać. Bo jesteś z natury dobry. Nie można o tym zapominać. Bo jest to wszelkiego dobra przyczyna. Bo Bóg to wie. Bo od niego jesteśmy posłani. Na wędrowkę po ziemi wysłani. Dla niego i z niego. Coś mi to przypomina. Niby inny rejon świata. A ta sama dziedzina. Ta sama mądrość wciąż na nowo człowieka rozpoczyna. Otwiera i nie zagina. Nie śmieje się Z, ale DLA. Dla Pana. Dla człowieka. Dla wspólnoty. Bo podstawą jest rodzina. I coś takiego jak gmina. Pewne zgrupowanie. Wokół jednej świątyni powstawanie. I powtarzanie. Ci sami ludzie. Jedno staranie. Kolejne pokolenie. Starego starania podtrzymanie. I tak od setek lat. Kręci się ten świat. I wokół tego świata. Bóg miłością oplata. Zasady. A dla niektórych zwady. Porady. A dla niektórych przykłady. I kolejne dwa lata. Na balijskiej ziemi. Nauka. Poznawanie. Do Bogów się zbliżanie. Coraz bardziej. Wiara na pierwszym planie. Nie byłem odosobniony. Tak się tutaj wierzy. Większość. Zaczynając od tutejszej młodzieży. Nie to co w Europie. Że nie myślą, co będzie potem. Tutaj. Na Bali. Wszyscy przed Bogiem wstali. I prawie wszyscy klękali. I się wymadlali. I się oczyszczali. Bo w Agama Tirtha najważniejsze jest oczyszczenie. Wodą naznaczenie. Wodą doczyszczenie. Samego siebie i czyste nasze plemie. Bo jeden czysty to wszyscy czysti. Bo jeden przejrzysty to cały ród kulisty. I się stwarza. Efekt domina. I się powtarza. Zadowolona mina. Bo człowiek czysty to człowiek szczęśliwy. Obmyty. Z przewin.

To mniej lękliwy. Już nie taki uporczywy. Już nie taki krzywy. Prosty człowiek widzi prostą drogę. Krzywy człowiek zastania się nałogiem. I swoją słabością. Powtarza, podchodzi do mnie z litością. Jestem tylko człowiekiem. Błądzą i oblewam się mlekiem. A czysty powie, jestem AŻ człowiekiem. Obdzielam wszystkich Boskim, życiodajnym mlekiem. Daję. Powtarzam. Z Boskiego nalewam. Jestem. Kocham. I dobrze się miewam. I nie zazdroszczę. Bo nie mam czego. I o bliskich się troszczę. O gminę. Świętynną rodzinę. Jesteśmy razem. Razem się znamy. Smutki do jednego gara wylewamy. I do rzeki. I kłaniamy się. Niestety. Nie zawsze. Tak jak należy. Ale staramy się. I Bóg widzi kto bieży. A kto z przyzwyczajenia. Bo tradycja. Bo nie chce wyjść na lenia. Ale nigdy, nigdzie nie jest tak, że każdy taki sam. Tak samo mocny. Poświęcony. Powtarzający, Pan. Duszą przemawiający. Duszą jedności chcący i przykłady powielający. Dobrze. Najlepsze. Gdzie kraniec. Kto wie. Dobrze jest kochać, to Ci każdy powie. I ciężka praca. Dla Bogów ofiara. Codziennie rano. Nie jest to kara. Każdy z własnej nieprzymuszonej woli. Okadza dom, pracę. Składa ofiary. Dzieli się tym co je. Ja też. Bo cieszy to mnie. Dzielenie się z Bogiem. To piękny jest zwyczaj. W Europie zapomniany. A może to lokalny obyczaj. Nie jestem religioznawcą. Tylko praktykiem. Korzystam z Boskiej wody. I jestem ziemi z niebem stykiem. Jak każdy człowiek. Tak być powinien. Jak każdy obiekt. A nie myśleć, że jest ktoś winien. Nie ma winnych i niewinnych. Nie ma lepszych i najlepszych. Jest życie. Choć czasem życie się pieprzy. Można odnieść takie wrażenie. Można myśleć, że życie to takie posiedzenie. Statyczne. Nielogiczne. Gdzie nic się nie dzieje. Dobrego. Tylko ciągle wyciąga ręce. Po coś należącego. Daj mi to, potwierdza życie. Chce jeszcze tamto. Może. Niektórzy twierdzą, że życie jest taką dominantą. Ale ja nie. Ja się nie podpisuje. Ani swego szczęścia w obligacjach nie lokuje. Jestem sobą. Bo dobro jest mi ozdobą. Kocham kogo. Tego, tamtego, każdego. Nie zachowuje się wrogo. Bo oni nic nie mogą. Tylko zamiast walca, agresywne pogo. To nie dla mnie. Na Bali to się nie sprawdza. Tam wrogiem są pieniądze. I z turystami jazda. Trochę tego za dużo. Trochę to mi się przejadło. Że ludzie przyjeżdżają się bawić. A nie się modlić. Tak jak mnie wypadło. Trochę modlitwy z kieszeni. I rozlało się po chodniku pełnym cieni. Zaczęło parować. W cieniach zaczęło się gotować. Aż się musiało ko kątach chować. Cień do cieka krzyczy, nie rzucajcie kotwicy. Strona do strony powtarza. Trzeba nam rozwiązłego marynarza. I tak się przekrzykiwali. Na swój sposób komunikowali. Tak chcieli. Tak umieli. Ważne, że ze sobą mnie nie wzięli. I balijska ziemia sporo mnie nauczyła. Przywiązania do ziemi i wody. Radości dostarczyła. Pokazała, że nie trzeba szukać daleko. Bali każdy ma w sercu. Ziemię i wodę. O ile nie jest kaleką. Kolejne modlitwy. Kolejne nabożeństwa. Kolejne święta i koszula bardziej zmięta. Sarong coraz luźniejszy w pasie. Zatrzymałbym się przy jakiejś smacznej kiełbasie. Ale oni kiełbasy nie znają. Inaczej się tutaj odżywiają. Czerwony ryż. Z mięsem i papryczkami. Na ostro. Z ognia. Przepis to prosty i znany. Proste jedzenie. Proste duszy karmienie. Prosta odpowiedź, bo i pytanie to pojedyncze zdanie. Zdanie bez pary. Ciekawe jakie ma zamiary. Zdanie bez rodziny. Prawda to, czy kpiny. Jak się człowiek miewa. Po co i czego się spodziewa. Jak się człowiek troszczy. Po co i dlaczego jest na duszy uboższy. Nie każdy. Z czasem się rozmywa. Czasami, nie jeden, z drugą stroną pływa. I się obmywa. Świętą wodą. Ciało. Z duszy brud spływa. Każdy w to wierzy. Każdy w Boga uwierzy. Kto doświadczy Jego działania. Kto zrozumie, że nie ma wycofania. Gdy Bóg dotknie Cię swym palcem. Gdy Cię wybierze i powie, jak chcę. I następuje pewna chęć służenia. Bycia. A nie tylko się tlenia. Zajęcia duszy ogniem miłości. Zajęcia ciała, zmęczonego od złości. Kiedyś musi nastąpić przemiana. U niektórych, zawsze z rana. A u innych raz tylko w życiu. Masz swój czas. I podziękuj przeżyciu.

Masz swoje emocje. I nikt Ci ich nie odbiera. Nikt nie chce, żebyś był zombie, i sam z podłogi siebie zbierał. Bo Pan jest radosny kiedy i Ty się cieszysz. Bo Pan jest żałosny, kiedy Ty na jego oczach grzeszysz. Bo to naczynia połączone. Bo Bóg nie jest statycznym tronem. Tylko duchem. I przypomina. Że na ziemi walka się zaczyna. Dobra ze złem. Barong i Rangda. Walczą. I w każdej religii jest ta prawda. Pytanie którą stroną wybierzesz. Ja wybrałem. Właściwą, jeśli nie wiesz. Barong jako anioł. Mój dobry przyjaciel. Siedmiu religii. Siedem takich samych znaczeń. Naznacza, kocha i opiekuje. Nową przemianę. W mądrości zwiastuje. I złego zdeptuje. To już naturalne. Że złe odruchy wykonuje się tylko zdalnie. Jeśli ze złym jesteś połączony. Nawet nieświadomie. Jak zdradzasz siebie i żony. Chociaż dwie to już przesada. Zostań przy jednej. Taka moja rada. Na Bali też tylko jedną mają. Bo większej ilości się po ludzku obawiają. Opiekun świątyni. To opiekun czystego serca. Tego kto przychodzi. Kolejny złego morderca. Opieka wpisana jest w moje życie. Służba. To prawdziwe w prawdzie przeżycie. Które uwypukla. Które uszlachetnia. Tak jak wiosny spodziewasz się połowie kwietnia. Tak służbą zwracasz uwagę Boga. Powtarzasz. Tworzysz. I nadzieję mnożysz. I się cieszysz, każdym kolejnym dniem. Nawet tym, że na Bali nie ma wiosny. Wiosna tam, to leń. I jesteś. I się nie przezbywasz. A nie jak niektórzy bez ładu i składu kiwasz. Tak nie należy. To się nie sprawdza. Życie. W zachwycie. To jest to, co wynagradza. Tyle dostajesz ile Bogu dajesz. Tyle się dowiesz ile Bogu odpowiesz. To jedno. Wszystko. To wiara. A nie upadasz nisko. Jest ściernisko. Jest mrowisko. Cynamonowy las. I pastwisko. A Ty się zastanawiasz gdzie Twoje miejsce. Jakie stanowisko. I czy nie jest ślisko. Nie jest. Odpowiadam za Ciebie. O ile Bóg świeci nad Tobą na niebie. Świeci zawsze, pytanie czy to wiesz. Czy wierzysz i czy zawierzyć mu chcesz. Jak mierzysz i co z rachunków wychodzi Ci. Starać się, czy opowiedzieć historię mi. Agama Tirtha. Zaskakuje czystością wody. Klarownością. Przewidywalnością. Cnotą, jakby to niektórzy powiedzieli. A nie psotą, jakby to inni chcieli. Każda religia, zostawiła we mnie ślad. Ale Agama Tirtha to świat bez wad. Bo z wadą jesteś outsiderem. Na zewnątrz. Okręt, który nie może pochwalić się sterem. To rodzina. To zbliżenie. To kochanie i istnienie. To tradycja to zbliżenie. Coraz bliżej. Takie me życzenie. I tak się stało. I na dobre zostało. Bóg i ja. I niepotrzebny pałak. By się chronić przed wypadkami. Z Bogiem nie przejmuję się przypadkami. Bo przypadków nie ma. Jest przeznaczenie. O ile w nim nie majstrujesz. Dzieje się na życzenie. O ile nie psujesz wolną wciąż wolą. Żyć i kochać. W każdej religii nam na to pozwolą. Pytanie czy weźmiemy. Czy skorzystam z okazji. Pytanie, czy się nie potkniemy z nadmiaru fantazji. Ale ja wierzę w ludzi. Wierzę, że dadzą radę. Że nie splotną na stosie. Decydując się na krwawą paradę. Musimy. Chcemy. Potrafimy. I wierzę. Że tego świata nie zniszczymy. A Ty co uważasz drogi Zecie. Zet: uważam, że za dużo głupich ludzi jest na świecie.

### **Mowa, na zmianę gotowa**

Bóg obmywa naszą duszę  
Nie przeszkadzać jedynie muszę

Nie powtarzać, że potrafię lepiej  
Że chcę, i kupię inne w sklepie

Stoik a w nim wiara

Stoik a w nim nadzieja

Jeden odkręca, drugi zakręca  
Nie bądź tym, który się znęca

Historia ostatniego piwa to historia pierwszego piwa. Bo piwo było jedno. Zet zrozumiał. Że podróż to nie dno. To nie błędzenie. Ale rozświecenie. Jeden mnich. Jedno marzenie. Połączenie z Bogiem. A nie w nicość się zamienienie. A nie kluczenie. I w kularach się gubienie. Na pierwszym planie wystąpienie. Ciągłe na nowo, się rodzenie. A nie niechcenie. A nie unikanie. Jesteś orkiestrą. A ludzie pytają, skąd takie granie. To z wewnątrz Ciebie. To nagroda dla Ciebie. To Twoje serce. Ono wie, niż myślisz więcej. Dlaczego brudne Twoje ręce. Dlaczego mokro jest w łazience. Nie przestawiaj. Tylko bez ustanku siebie naprawiaj. Nie ważne w jakiej religii. Bo jest jedna. Jedna podróż, głodna Boskiego chleba. Nie twórzmy jednej religii. To nie wypali. Wyjdzie Twór, którego wszyscy będą się bali. Odmieniec. Bez domu i rodziny. Jedna religia już jest. I wie to każdy kaczeniec. Religia miłości i szacunku do Boga. Podziękowania i znika wszelka trwoga. Zawierzenia. I siebie poświęcenia. Służenia. I na lepsze się zmienienia. Jeden Bóg. Niezależnie jak nazywany. Jeden cud. Wielu narodom znany. Miłość. Duch, który wypełnia wszystko. Jezus. Który wie co to łąka i wie co to ściernisko. Jedna zmiana. W imię pojednania. Jedna nadzieja, co człowieka rozwesela. Na ile musi się udać. Na ile musi się zmienić. Wyrwijmy to co niepotrzebne. Uschłemu drzewu na nic z korzeni. Słowa jedności to słowa zauroczenia. Słowa dociekliwości to słowa stworzenia. Jezus wie, bo był przecież człowiekiem. Człowiek jest z Bogiem. Jednym w smaku mlekiem. Tak samo sycącym. Bo od siebie czerpiącym. O takim samym smaku. Gdy jest czyste. Nie wymaga znaku. Samo kierunek wskazuje. Mleko co się nie marnuje. O ile nie skwaśnieje. O ile na słońcu, nie zapyta co się dzieje. Dlatego dbaj o łączność z Panem. Nie krytykuj Jego świata nad ranem. Nie próbuj pokazać swojej siły. Pamiętaj, mądry jest zawsze miły. Pytasz na co to stworzenie. Odpowiadam, na pewno nie na potępienie. I wieczne na nowo się stawanie. I wieczne z Bogiem rozmawianie. Kto komu. Kto na pierwszym planie. Dlaczego. Wszystko co ludzie zostaje poznane. Jest Jemu znane. I oceniane. Sam widzisz, więc wiesz. Dlaczego szczeka pies. Sam jesteś, uczujesz. I wiesz, co i jak próbujesz. Historia ostatniego piwa. Tylko jednego żniwa. Opowiada całe dnie. Jak w upiciu czuje się. Upity Bogiem. Upity nadzieją. Ktoś. Mnich. Patrzy jak się ludzie śmieją. Ma to gdzieś. Nie jest zainteresowany. Może. I woli. Być najwyższemu znany. Ludzie nie zawsze rozumieją. Czasami w ramach obrony się z Ciebie śmieją. Czasami się do szyby kleją. Ale nic z tego nie rozumieją. Inni inaczej. Jeszcze inni, raczej. Lepiej niż gorzej. Jeszcze inni, najgorzej. Coś się tworzy. Albo pęka sworzeń. I płyniesz zastanawiając się nad sensem i powodem. I obkładasz sobie sińca dobrze ubitym lodem. Rozgniecionym. Podzielonym. Może. Musi. Być spełnionym. Być lodem. Chłodzić. O jednym śnić. Kimchi musi smacznym być. To Ty dodajesz temu snu smaku. To Ty nie unikniesz samego siebie jako znaku. Nie zamkniesz oczu. Nie zdezerterujesz. Bóg wie, jak i kiedy się przed nim czujesz. A jak za nim. A jak obok. Bóg nie potrzebuje nieużywanych nóg. Korzystaj z tego co masz. Nie zasłaniaj, nie mów, to nie moja twarz. Korzystaj z tego co masz. Bo siebie samego Mu dasz. Inaczej się nie

da. Inaczej to tania sprzedaż. Wszyscy ucą tego samego. By sprowadzić wszystko do jednego. To nie zmowa i dogadanie. Wszyscy podają takie samo danie. To nie tylko Jezusa zasługa. Że najlepszy dla Boga, to sługa. Służ więc i nie narzekaj. To jest to. Na to czekaj. Tęsknij do Pana i zjednoczenia. A będziesz znany z Jego imienia.

Ostatnie musi być pierwszym. Tak jak śmierć narodzinami.

Wydatne jest trybem morderczym. Ale to tak tylko, między nami.

Słowa i oddech są znakami. Nie mijaj ich między istotami.

Życie dla Boga. Życie dla siebie. I niech nazywają nas wariatami.



## Spis obrazów:

*Grafika ze strony tytułowej:* Grafika Marcina z Frysztaka, Kamienne serce 6.

*Wiersz ze wstępu.* Marcin z Frysztaka, Objawieniec.

*Obraz końcowy:* Marcin z Frysztaka, [i](#).



**Marcin z Frysztaka**

ur. 2 grudnia 1986 – obecnie

Marcin z Frysztaka oprowadza pielgrzymów po Niebie. Tylko od Ciebie zależy, czy zagościsz tam na stałe. Autor trzech 14-częściowych cykli. Trzeci nosi tytuł „Niekończąca się bezsenność”. Książki Marcina można przeczytać za darmo w internecie. Są dostępne na stronie internetowej: [wilusz.org](http://wilusz.org)

Trzeci cykl to dziesięć opowiadań. Witamy się „Prąd w każdym z nas” a żegnamy „Jak orzech się do orzecha uśmiecha”. Są też trzy tomiki wierszy: „ZwierzoSzyki”, „Na ringu”, oraz „Kolejne uniesienia duszy”. Cykl inspirowany snami. Idealny na bezsenne noce.

Kontakt z Marcinem z Frysztaka:  
szulif@gmail.com

Szanowny Wydawco,

Jeśli masz chęć wydać „Piwo” w wersji papierowej – drukuj śmiało!

Jako autor zachęcam do powielania, kopiowania i wydawania „Piwa” na wszystkie możliwe sposoby.

Proszę tylko o zachowanie zgodności z oryginałem.

„Piwo” każdy może wydrukować i rozpowszechnić – dzieląc się wolnością.

Nie oczekuje wynagrodzenia, czy procentów od sprzedanych egzemplarzy. Będę się cieszył jeśli część zysków, które uzyskasz ze sprzedaży „Piwa”, przekażesz na cele charytatywne.

Nie potrzebujesz dodatkowych zgód, pozwoleń, czy umów.

Chcesz wydać „Piwo”? To do dzieła!

Marcin S. Wilke

Przyjaciele,

Niezwykle istotnym jest, aby „Piwo” było w całości dostępne za darmo w internecie. Kopiujcie je z jednego serwisu z ebookami na kolejne. Ułatwiajcie dostęp do „Piwa”. Udostępniajcie je bez pobierania opłat. Niech zyska nowe, elektroniczne życie. Niech karmi otwarte umysły tych, którzy porzucili papierowe wydania na rzecz cyfrowego świata.

Marcin S. Wilke